WIDNOKRĄG

TYGODNIK KULTURALNY

UKAZUJE SIĘ Z „NOWINAMI RZESZOWSKIMI"
Nr 22 (244)
Rok VI
5 VI 1966 r.

Maria Cecylia Guziołek

# UROKLIWE WIECZORY

Muzeum łańcuckie wraca do powszedniej działalności. Znów szeroko, po słowiańsku, otwiera swe podwoje dla gości z całego kraju i nie z rzadka zaglądających tu cudzoziemców. Przecież sezon urlopowy i turystyczny tuż, tuż...

Niewiele czasu pozostało opiekunom zabytkowej budowli do uzyskania równowagi i przywrócenia codziennego toku pracy po „najeździe" na zamek kameralistów, melomanów i licznych sprzymierzeńców majowego festiwalu z całego kraju.

Dni Muzyki Kameralnej w Łańcucie roku 1966 odbiegły rozmachem i atmosferą od Dni lat ubiegłych. Znikł — (oby bezpowrotnie!) nastrój dostojnej powagi celebrowania sztuki, ustępując miejsca atmosferze odpoczynku przy szlachetnej muzyce, niejednokrotnie wesołej, dowcipnej i beztroskiej. Nigdzie nie jest powiedziane, że muzyka kameralna może być uprawiana tylko na marmurowym podeście, a jej wielkość dostępna wyłącznie dla garstki wybrańców i wtajemniczonych. Przeciwnie, powstała dla urozmaicenia wieczorów towarzyskich na dworach: stąd małoobsadowe utwory instrumentalne. I nikt wówczas estrad i piedestałów dla niej nie budował. Wymaga ona bezsprzecznie wysokiej klasy wykonawców i dużego osłuchania od uczestnika koncertu; to trzeba kameralistyce zaliczyć tylko na plus. Gdy tworzyła się i rozwijała były to czasy, które „nie chwaliły" się rzekomą głuchotą, a muzyka należała jak wszystkie inne dziedziny sztuki do wykształcenia ogólnego. Tyle w hołdzie moim antagonistom i Dni, bo tę dygresję melomani i entuziaści kameralistyki — na szczęście — mi wybaczą, a jest ich znacznie więcej niż czasem się przypuszcza.

Prawo obywatelstwa, które bezsprzecznie zdobyły sobie Dni tak na zamku w Łańcucie, jak i w kalendarzu imprez ogólnopolskich Ministerstwa Kultury i Sztuki — wytworzyło już aurę stabilizacji, pozwalając organizatorom skoncentrować cały wysiłek na urozmaiceniu programu, nadaniu koncertom atrakcyjnej formy i interesującego przebiegu całemu festiwalowi.

Równocześnie ostatni rok obchodów tysiąclecia państwowości Polski zobowiązał jakoby do szerokiego uwzględnienia muzyki polskiej. I tak po raz pierwszy łańcuckie wieczory muzyczne powiązała nić tematyczna. Nazwijmy ją: twórczość rodzima od XVI wieku po dziś reprezentowana dziełami nawet na wskroś awangardowymi. W ten sposób powstała bajeczna mozaika muzyczna. Iskrzyły się perełki polskiej literatury muzycznej, podane niejednokrotnie w sposób znakomity. Każdy koncert miał określony zamknięty charakter, a cały cykl festiwalowych wieczorów zestawiono na zasadzie kontrastów. I to chyba wyróżnia ostatnie Dni od poprzednich i jest ich najcenniejszą zaletą.

Pierwszą niespodzianką był inauguracyjny koncert, na którym przedstawiła się po raz pierwszy orkiestra kameralna (z prawdziwego zdarzenia a nie tylko z nazwy) gospodarza festiwalu Państwowej Orkiestry Symfonicznej w Rzeszowie. Chętnie jeszcze nie raz posłuchałabym przezabawnej Suity tańców i piosenek staropolskich Dobrzańskiego z kapitalnymi piosenkami „Eja kompanija", czy „Runda, rynela" (szkoda że nie śpiewana z powodu nagłej choroby W. Pilewskiego), które mają wszystkie szanse, by na długi czas wyeliminować ze śpiewów towarzyskich sławną polską śpiewkę „Góralu czy ci nie żal". W czasie koncertu zabłysnęła znakomitym kunsztem wokalnym Halina Słonicka, zbierając zasłużone, entuzjastyczne brawa. I wydaje się, że warto namówić Janusza Ambrosa, który koncert przygotował i poprowadził, by utrzymał ten zespół kameralny. Koncerty muzyki kameralnej nie tylko z okazji majowych spotkań muzycznych mogą przecież ogromnie wzbogacić działalność POS na co dzień.

Drugi koncert był w zasadzie recitalem. W pierwszej części wystąpił altowiolista francuski Andre Focheux, któremu towarzyszył na klawesynie, a następnie na fortepianie świetny pianista Jerzy Marchwiński. Artyści z nastroju poprzedniego wieczoru, pełnego muzyki dawnej wprowadzili słuchaczy nieomal do współczesności (Rudziński, Hindemith). Marchwiński był tu w swoim żywiole. Jak bardzo bliska jest mu nowa muzyka, która ma w nim wiernego interpretatora! Po przerwie muzyczny kalejdoskop kalistka nie zdobyła jeszcze pewności wirtuoza i jej występ wymagający silnych nerwów nie należał do najlepszych, ale rzadko kiedy ma się okazję słyszeć harfę jako instrument wyłącznie solistyczny i widzieć trudną technikę gry. Dlatego i ten wieczór miał swój niecodzienny urok.

Trzeci koncert należał do chóru Edmunda Kajdasza. Tu powrót do wczesnego baroku — przełomu XVI i XVII wieku. Utwory Pękiela i Zieleńskiego. Salę balową wypełnia wspaniałe brzmienie kilkudziesięcio osobowego zespołu, który na skinienie swego dyrygenta działa jak instrument, potężne organy. Nagrania radiowe ani płytowe nie oddają sztuki śpiewaczej tego zespołu. Ich trzeba słuchać „na żywo"! To było mocne uderzenie nie mające — rzecz jasna — nic wspólnego z bigbeatem!

Czwarty koncert. Kwartet bułgarski Dimova. Kwartet, a więc zespół kameralny, jak najbardziej tradycyjny i... rozczarowanie dla miłośników muzyki dawnej. Czterej wirtuozi z Bułgarii przedstawili wyłącznie muzykę nową. Gwoli ścisłości muszę dodać, że wykonali na bis Fugę poczciwego Jana Sebastiana Bacha i udowodnili, iż dobra muzyka, niezależnie od okresu, w którym powstała nie jest im obca i tak samo dobrze czują atmosferę muzyki dawnej, jak i najnowszych czasów! (Vide wypowiedź Grażyny Bacewicz).

Utarł się już zwyczaj, a nawet możemy już mówić o tradycji wybierania przez publiczność najciekawszych czy najbardziej uroczych wykonawców. Kryteria są trudno uchwytne, cienkie. Najbliższe prawdy będzie określenie: wybiera pupilów, którzy szturmem zdobywają sympatie słuchaczy. Pierwszym laurem melomani festiwalu łańcuckiego obdarowali Kwartet węgierski im. Beli Bartoka; w ubiegłym roku pupilem został zespół młodych artystów warszawskich Con Moto Ma Cantabile Tadeusza Ochlewskiego. Sympatię słuchaczy VI Dni zdobyli — jak można wnioskować — Bułgarzy za artyzm i Zespół Instrumentów Dawnych Fistulatores et Tubicinatores Varsovienses Kazimierza Piwkowskiego za reżyserię koncertu i niezapomniane piękno całego wieczoru, w którego imię przebacza się potknięcia i niedoszlifowania.

Występ Zespołu Instrumentów Dawnych zaaranżowano przy świetle mnóstwa świec, a ten rzadki nastrój spotęgowały jeszcze recytacje Wojciecha Siemiona wierszy lub fragmentów poezji Reja, Szymonowicza, Kochanowskiego w pierwszej części, a w drugiej — poetów współczesnych m. in. Grochowiaka, Sity i Rynkiewicza, nawiązujących w formie do epoki ojca literatury polskiej. Koncert słowno-muzyczny zamknął Siemion recytacją „Ojczyzny" K. I. Gałczyńskiego. Cały festiwal charakteryzowała nuta polska, lecz ten wieczór był hołdem dla bogactwa i piękna naszej kultury.

Zespół Muzyki Dawnej Stefana Sutkowskiego dał koncert muzyki polskiej XVII i XVIII wieku oraz muzyki włoskiej. Towarzyszył również artystom Sceny Kameralnej dając prapremierę polską przedowcipnej opery kameralnej Telemanna „Pan Pimpinon".

Zespół Stefana Sutkowskiego, to już przyjaciele łańcuckich koncertów. I warto pomyśleć o powtórzeniu przynajmniej kilkakrotnym tej perełki twórczości operowej, tym bardziej, że utwór przygotowany jest do pokazywania nie tyle na scenie, co właśnie we wnętrzach reprezentacyjnych pałaców.

Opera Telemanna, to przepyszna zabawa! Ileż w tekście (wersja polska L. E. Stefańskiego) wycieczek do współczesnych, chociaż akcja toczy się z początkiem XVIII wieku. Z niełatwej roli Pimpinona znakomicie wywiązał się bas Jerzy Artysz, a uroczą, jakże przewrotną panią Osetą była Zofia Wilma. „Pan Pimpinon" jest pełnym sukcesem artystycznym zespołu Warszawskiej Sceny Kameralnej i był godnym zakończeniem VI Dni Muzyki Kameralnej — Łańcut 1966.

Ogromny wysiłek i skrupulatne sumowanie doświadczeń ubiegłych pięciu lat dały piękne, niezapomniane przeżycia. Majowe wieczory muzyczne to urokliwe spotkania ze sztuką. Tu często nasuwają się słowa mistrza nastroju Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego... parę gwiazd, parę ptaków, a już wiesz skąd ten akord;... To Łańcut pełen muzyki! Żegnając go każdy urzeczony pięknem obiecuje wrócić za rok. I znów w maju!

Przed zamkiem, co prawda nie ma fontanny, jak w Rzymie, do której wrzucony grosz zapewniłby powrót. Ale jest basen na dziedzińcu. Czystości jego wód strzeże kamienna postać. Nie wierzę, by nie znalazł się nikt kto by nie rzucił tam mie-

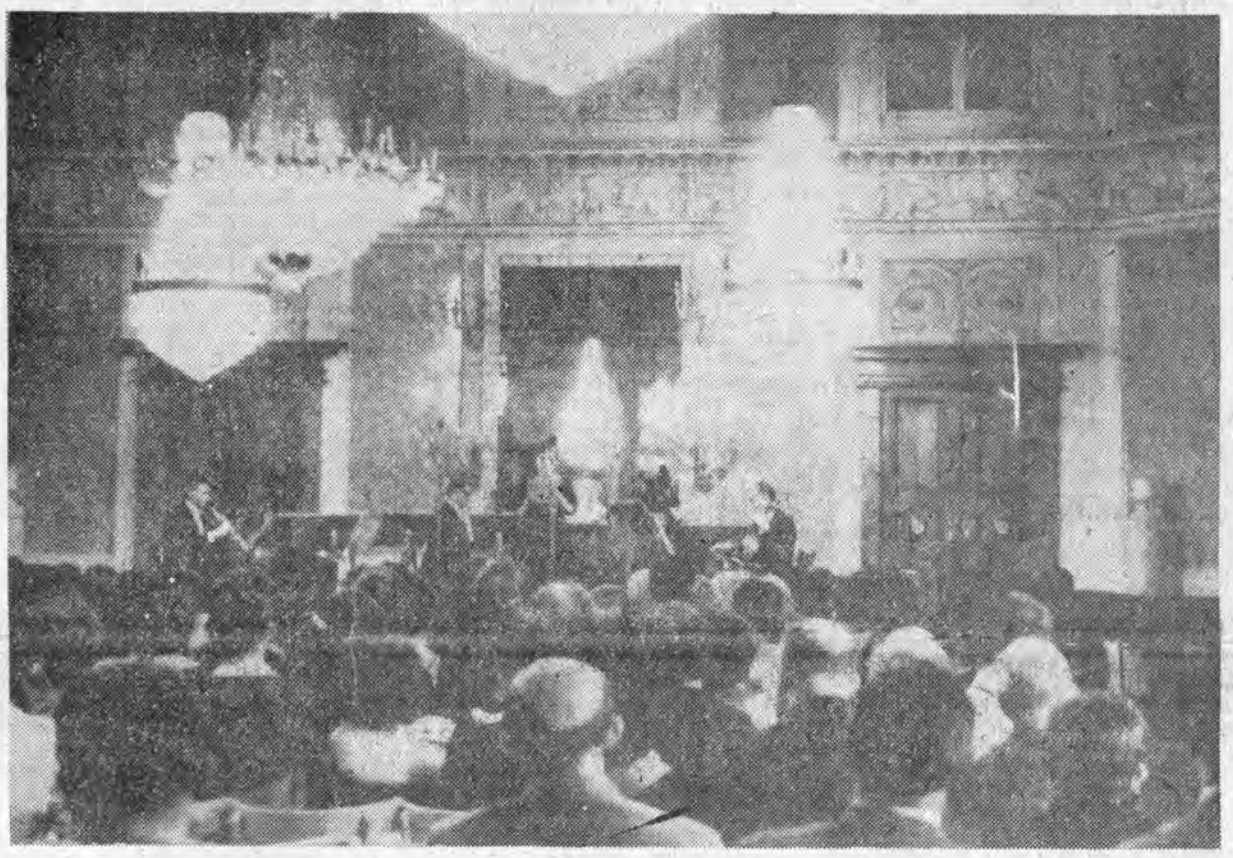

Fot. M. KOPEC

## VI Dni Muzyki Kameralnej w liczbach

Na imprezę złożyło się 6 koncertów i 2-krotne wykonanie opery komicznej Telemanna „Pan Pimpinon". Koncerty trwały łącznie 16 godzin, a wysłuchało ich około 3.000 osób.

Prawykonania: Suita tańców i piosenek staropolskich opracowana na podstawie dawnych tabulatur przez J. Dobrzańskiego.

- VII Kwartet Smyczkowy Grażyny Bacewicz.
- Polska prapremiera sceniczna opery Telemanna „Pan Pimpinon".

**Wykonawcy:**

Zespoły:
- Chór Polskiego Radia i Telewizji we Wrocławiu
- Kwartet Dimova — Bułgaria
- Zespół Muzyki Dawnej Musicae Antiquae Collegium Varsoviense.
- Zespół Instrumentów Dawnych Fistulatores et Tubicinatores Varsovienses
- Warszawska Scena Kameralna
- Zespół Kameralny Państwowej Orkiestry Symfonicznej w Rzeszowie.

Dyrygenci i kierownicy artystyczni:
- Janusz Ambros
- Dimo Dimov
- Kazimierz Piwkowski
- Edmund Kajdasz
- Stefan Sutkowski

Soliści:
- Halina Słonicka — sopran, Zofia Wilma-Bagniuk — sopran, Barbara Tuszyńska — alt, Genowefa Tront — harfa, Rajmund Janowski — tenor, Jerzy Artysz — baryton, Andre Focheux — altówka, Jerzy Marchwiński — fortepian, Wojciech Siemion — recytacje.

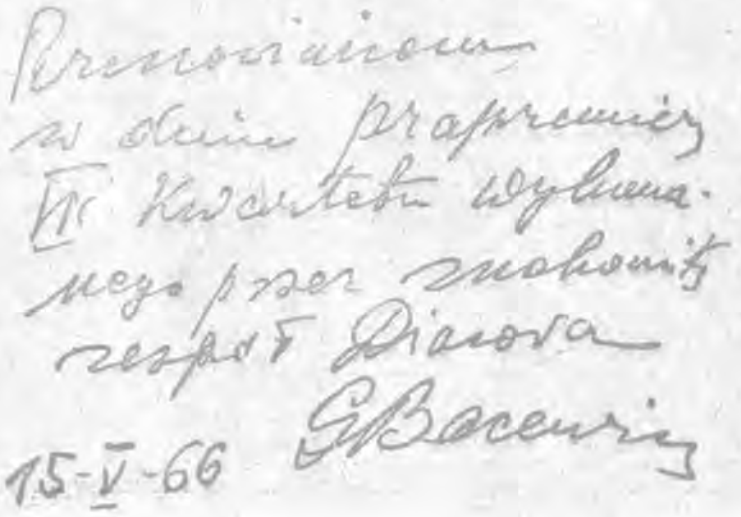


*Józef Kurylak*

## *Fotografia dziewczyny schylonej nad czarną trawą*

**PAMIĘCI URSZULI**

*nad czarną trawą schylona dziewczyno*

*cienie mych listów sięgają twych kolan*
*jak prędkość fali od nadmiaru ognia*
*światła nie dotknę tylko pustka krzyknie*
*ponad ulotną cytrą trzepotu motyla*

*biódr twoich portret przez sukienkę requiem*
*spowiada złote klony mego snu*
*pojąłem kamień muzykę na drewna*
*oczy zamknięte jak szpitalne okna*

*nad czarną trawą schylona dziewczyno*

*trwa we mnie ziemia bez wschodu zachodu*
*zwęglony złocień idący pod światło*
*elegijnych lichtarzy alej które wiodę*
*pod strop twojego nieba twojej fotografii*

*nad czarną trawą schylona dziewczyno*

# PRZEMYŚL – MIASTO MOJEJ MŁODOŚCI

*KAZIMIERZ OPALIŃSKI* *Fot. K. KOMOROWSKI*

— Interesuje pana moja biografia, lata młodości. Zszarzały ze starości obraz mego rodzinnego miasta. A więc proszę notować, młody człowieku!

Ręka gospodarza sięga po kartkę papieru i ołówek. Rysowane na prędce kreski układają się w równoległe pasy skierowane w różne strony. Tworzą czworobok.

— To Rynek w Przemyślu — powiada starszy pan w okularach. Wskazujący palec jego ręki rozpoczyna wędrówkę po szkicu. Ulica Grodzka wiedzie na zamek. Na lewo — Franciszkańska. Tu był magistrat, ulica Kazimierza Wielkiego, podcienia, schody. Tu ogniś stał dom, w którym urodziłem się pewnego dnia 1890 roku. Tego domu już nie ma. Został zburzony. Tylko wspomnienia. Niewesołe dzieciństwo. Śmierć rodziców, wychowanie u obcego człowieka, szkoła, gimnazjum na Zasaniu.

Starszy człowiek wywołuje przeszłość, lata, które już nie wrócą. Wygrzebuje z pamięci nazwiska znanych postaci starego Przemyśla, ludzi, których znał: Łazor, Cudnowski, bracia Rydzewscy, Lorenc, bracia Osińscy, Burnatowicz, Wysocki...

W pierwszych latach XX wieku do Przemyśla zjeżdżały liczne objazdowe teatry i teatrzyki. Oglądałem wszystkie przedstawienia. To była największa rozrywka mojej młodości. A „flirt z Melpomeną" rozpocząłem dość wcześnie. Najpierw w domu — zabawa w „teatr". W czasie jednego z owych „spektakli" w artystycznym zapale" zbyt mocno uderzyłem się nożem. Do dziś na palcu u ręki mam bliznę — pamiątkę tamtych dawnych lat.

Wkrótce stanąłem „oko w oko" z widownią. Najpierw jako „aktor" z jasełek, później jako członek amatorskiego teatru w „Sokole" (w obecnej sali PDK — przyp. aut.), w Towarzystwie „Gwiazda" (teraz ZZK), w Towarzystwie Kościuszkowskim (obecnie kino „Roma" — przyp. aut.). Recytowałem wiersze w Towarzystwie „Znicz", kilkakrotnie wystąpiłem we „Fredreum" w roli ...suflera.

Kolejny etap to „wojaże" w „trupie" objazdowego teatru ziemi przemyskiej. Grałem epizodyczne, komediowa role i rólki: „Sąsiadka", „Dwadzieścia lat kopy" i inne. Żywot tego teatru nie był długi. Wkrótce znalazłem się w innym zespole.

Okres młodzieńczy, lata spędzone w Przemyślu — to moje sceniczne „wprawki", poznanie smaku teatru, początek pasji życia. Po zakończeniu wojny, tej pierwszej, opuściłem nadsański gród. Rozpocząłem wędrówkę po Polsce. Ze sceny na scenę. Z miasta do miasta. Wierny zawsze Melpomenie.

Z uwagą słucha reporter opowieści Kazimierza Opalińskiego — znakomitego polskiego aktora. Jego sylwetkę, sceniczny gest, charakterystyczną barwę głosu znają wszyscy doskonale. Z teatru, z radia, ze srebrnego i szklanego ekranu. „Ludzie Wisły", „Dwie brygady", „Zezowate szczęście", „Szczęściarz Antoni", „Droga na zachód", „Jadą goście, jadą", „Spóźnieni przechodnie", „Rok pierwszy" , „Czarne skrzydła", „Gangsterzy i filantropi", „Rękopis znaleziony w Saragossie", „Faraon" — oto tytuły filmów, w których występował. Wspaniała kreacja roli maszynisty Orzechowskiego w „Człowieku na torze" w reż. Munka, popisowy „Zegarek" Szaniawskiego — w TV, cotygodniowe spotkania na antenie ze słuchaczami, setki niezapomnianych ról, tysiące „twarzy" Kazimierza Opalińskiego.

— Dwa lata temu — opowiada artysta otrzymałem miłe zaproszenie z Przemyśla na gościnny występ w wystawianej tam przez „Fredreum" „Zemście". Miałem grać Dyndalskiego. Niestety, na przeszkodzie stanęła mi choroba, a potem nawał pracy.

Mój rozmówca wertuje orbisowski kalendarzyk. — Czwartego czerwca jedziemy (zespół Teatru Narodowego w Warszawie — przyp. aut.) do Rzeszowa, gdzie w ciągu 3 dni mamy dać 5 przedstawień „Historyi o chwalebnym zmartwychwstaniu pańskim", w reżyserii Dejmka. Korzystając z pobytu na Rzeszowszczyźnie, chciałbym koniecznie — choć na parę godzin — odwiedzić Przemyśl. Złożyć kwiaty na grobach moich rodziców. Spotkać się — po latach — z nielicznymi starymi przyjaciółmi. Przejść się krętymi, starymi uliczkami. Spojrzeć — jak przed laty — z góry zamkowej na malowniczą panoramę mego rodzinnego miasta. Miasta mego dzieciństwa i młodości, z którym łączy mnie tak wiele wspomnień.

Zanotował:
**MIECZYSŁAW NYCZEK**

**Zdzisław Kozioł**

# ZWIĄZKI DAWNE

## Z wrocławskiego

Moje bliższe zainteresowanie Dolnym Śląskiem zrodziło się przed niespełna dwoma laty, gdy wraz z grupą dziennikarzy krajowych i zagranicznych zwiedzałem ten region Polski. Po konferencji prasowej u przewodniczącego Prezydium WRN — Bronisława Ostapczuka oraz spotkaniu z prof. dr Bolesławem Iwaszkiewiczem — przewodniczącym Prezydium MRN we Wrocławiu, jeden z kolegów wyraził opinię, że tu właśnie kształtuje się model Polski przyszłości.

Opinia ta nie jest chyba bezpodstawna; w wielu dziedzinach życia gospodarczego i społecznego, Dolny Śląsk ze swoją stolicą może służyć przykładem dla innych regionów. Koledzy pół żartem, pół serio mówili, że warto spopularyzować wrocławską punktualność; zebrania odbywają się w ściśle wyznaczonym terminie, co zapobiega marnotrawieniu czasu, pozwala racjonalnie planować dzień roboczy. Ale to tylko jeden, prawdopodobnie nie najważniejszy, z zewnętrznych przejawów znacznie głębszego zjawiska — wdrażania naukowych metod organizacji i kierowania.

Współczesne oblicze Dolnego Śląska w dużej mierze kształtuje się pod wpływem nauki; jest on widoczny zarówno w administracji państwowej i instancjach partyjnych, jak i licznych zakładach pracy. Mam na uwadze bezpośrednie zaangażowanie naukowców w życiu społeczno - politycznym i gospodarczym oraz praktyczne zastosowanie zdobyczy nauki w produkcji czy innych działach gospodarki narodowej. Przykłady? Chociażby rady naukowo-techniczne w przedsiębiorstwach, czy współpraca fabryk z uczelniami i instytutami. Wrocławskie pracownie urbanistyczne pierwsze w kraju zatrudniły socjologów; przedstawiciele tej dyscypliny nauki społecznej pracują także w przedsiębiorstwach przemysłowych.

Wrocław jest obecnie trzecim co do wielkości, po Warszawie i Krakowie, ośrodkiem naukowym w kraju. Tu znajduje się 8 wyższych uczelni, ponad 20 instytutów resortowych i Polskiej Akademii Nauk, a wśród nich Instytut Immunologii i Terapii Doświadczalnej im. Hirszfelda oraz zasłużony dla polskiej nauki i kultury Zakład Narodowy im. Ossolińskich. We wrocławskich uczelniach kształci się blisko 26 tys. młodzieży, a w okresie władania niemieckiego — około 3 tys., mniej więcej tyle, ilu jest obecnie pracowników naukowych.

Skoro już zahaczyliśmy o dawne dzieje, warto wspomnieć, że od czasów Bismarcka Uniwersytet we Wrocławiu zaczął tracić swój dawny liberalny charakter, stając się placówką agresywnego nacjonalizmu niemieckiego, ośrodkiem wrogim kulturze polskiej. W 1918 roku powstał w tym mieście znany z wielkoniemieckiego nacjonalizmu Osteuropa-Institut. Prześladowanie Polaków nasiliło się szczególnie w III Rzeszy; w przededniu najazdu hitlerowskiego na Polskę, nieliczni już wówczas studenci polskiego pochodzenia zostali z uczelni usunięci. („Uniwersytet Wrocławski", *Ossolineum 1963*, s. 18).

Ośrodek akademicki w polskim Wrocławiu tworzony był od podstaw; jeszcze przed zdobyciem miasta w 1945 r., kilku naukowców z lwowskiego Uniwersytetu Jana Kazimierza zadeklarowało gotowość podjęcia pracy w mających powstać uczelniach Wrocławia. Przyjechali oni do płonącego jeszcze miasta. Grupa ta powiększyła się o kilku polskich intelektualistów deportowanych przez Niemców po upadku powstania warszawskiego oraz uczonych z przedwojennych ośrodków akademickich, m. in. wileńskiego Uniwersytetu Stefana Batorego. Wśród Polaków zmuszonych do prac w oblężonym Wrocławiu znajdowało się dwóch naukowców, nota bene późniejszych rektorów pierwszych wrocławskich uczelni — Uniwersytetu i Politechniki. Uczelnie te powołane zostały do życia dekretem z sierpnia 1945 r., a wykłady rozpoczęły się w listopadzie i grudniu, uroczysta zaś inauguracja dokładnie 20 lat temu — 9 czerwca 1946 roku.

Dla zobrazowania rozwoju i osiągnięć wrocławskiego ośrodka naukowego niezbędne jest obszerne studium o historii nauki i szkolnictwa wyższego nie tylko Dolnego Śląska, ale także Ziem Zachodnich i Północnych, a nawet całej Polski. Życie naukowe Wrocławia jest bowiem integralną częścią ogólnopolskiego życia naukowego.

Można jednak uchwycić charakterystyczne cechy tego środowiska. Nauki społeczne wniosły poważny wkład w dzieło unifikacji Śląska z Polską, przedstawiciele tych nauk współdziałali w organizowaniu administracji polskiej, przyczynili się do kształtowania świadomości społecznej i narodowej Polaków, zamieszkujących te ziemie od stuleci oraz nowo przybyłych, pomagali w rozwiązywaniu wielu trudnych spraw związanych z ludnością autochtoniczną, której na Ziemiach Odzyskanych było około miliona. Podejmowane prace naukowe, m. in. z

ELLERY QUEEN

# 3 Wdowy

Normalnemu podniebieniu smak morderstwa nie sprawia przyjemności. Ale Ellery jest w tej dziedzinie epikurejczykiem i niektóre z jego spraw odznaczają się czymś, co jak bukiet wina pozostaje długo na języku. Wśród tych dań dla smakoszów poczesne miejsce zajmuje sprawa Trzech Wdów.

Dwie z tych wdów to siostry: Penelope, dla której pieniądze były niczym, i Lyre, dla której pieniądze były wszystkim, z czego jasno wynika, że obydwie potrzebowały ich bardzo dużo. Młodo pogrzebawszy swych rozrzutnych mężów wróciły z poczuciem ulgi na plebanię ojca w Murray Hill. Stary Teodor Hood, suto zaopatrzony w środki obiegowe był zawsze hojny w stosunku do córek, można więc było rokować powrotowi córek jak najlepsze widoki. Niestety, wkrótce potem, kiedy Penelope i Lyre rozgościły się już na nowo w swych dawnych, panieńskich pokojach, Teodor Hood wprowadził do domu drugą żonę, damę dostojną jak katedra i odznaczającą się wielką siłą charakteru. Zaniepokojone siostry wypowiedziały jej natychmiast wojnę; macocha podjęła wyzwanie z ponurą twarzą. Stary Teodor znalazł się w krzyżowym ogniu, co mu tak dokuczyło, że nie marzył już o niczym tylko o spokoju; wkrótce go zresztą zdobył, opuszczając na wieki ten padół płaczu; jego dom zamieszkały teraz wyłącznie wdowy.

Pewnego wieczoru, wkrótce po śmierci ojca, tłusta Penelopa i chuda Lyre zostały poproszone przez służącą do salonu, gdzie ich przybycia oczekiwał prawnik rodziny, pan Strake.

Najprostsze zwroty wychodzące z ust pana Strake'a brzmiały zwykle jak wyroki ferowane przez sędziego; tego wieczoru, gdy powiedział: „Zechciejcie, panie, siąść" zabrzmiało to tak złowieszczo i jak kara śmierci przez powieszenie. Siostry wymieniły spojrzenia i usiadły.

Po chwili skrzypnęły wysokie drzwi i weszła wolnym krokiem Sara Hood, wsparta na ramieniu doktora Benedicta, lekarza domowego rodziny.

Pani Hood, której głowa drżała z lekka, popatrzyła na swoje pasierbice z wyraźną pogardą i rzekła: „Doktor Benedict i pan Strake powiedzą najpierw z czym przyszli, a potem ja zabiorę głos".

„Zeszłego tygodnia — zaczął dr Benedict — pani Hood przyszła do mnie na zwykłą półroczną wizytą. Zbadałem ją gruntownie, jak zwykle i stwierdziłem, że wziąwszy pod uwagę jej wiek — odznacza się niezwykle dobrym stanem zdrowia. Niestety, zaraz następnego dnia rozchorowała się — po raz pierwszy od lat ośmiu. Sądziłem, że złapała jakiegoś wirusa, ale pani Hood postawiła sobie inną diagnozę. Uważałem, że jej sugestia jest absolutnie nieprawdopodobna. Wtedy zaczęła nalegać, bym zrobił analizy. Wykonałem je i okazało się, że miała rację. Nie ulegało wątpliwości — była to próba otrucia.

Tłuste policzki Penelope pokryły się powoli rumieńcem, a szczupła twarz Lyre — zbladła.

— Jestem pewien — ciągnął dalej dr Benedict, wpatrując się dokładnie w środek przestrzeni między głowami sióstr, że z łatwością zrozumiecie panie to co mam na myśli, gdy powiem, że odtąd będę badał panią Hood codziennie".

„Teraz kolej na pana Strake" — powiedziała z lekkim uśmiechem stara dama.

— Zgodnie z testamentem ojca pań — rozpoczął sucho pan Strake, także wpatrzony w odległy punkt przed sobą — każda z pań otrzymuje pewną sumę z dochodów, które przynosi majątek ojca. Większość dochodu została zapisana jednakże macosze pań do końca jej życia. Postanowiła ona, że w wypadku jej nagłej śmierci majątek ten, w wysokości dwu milionów dolarów otrzymacie panie do równego podziału. Krótko mówiąc, jesteście panie jedynymi osobami na świecie, które zyskują na śmierci waszej macochy. Powiedziałem pani Hood i doktorowi Benedict, że gdyby nie to, że dzięki łaskawemu dla pań losowi, nie udało się wam to potworne zabójstwo — co powinno być dla pań groźnym ostrzeżeniem —, poświęciłbym resztę życia na dopilnowanie, by spotkała panie jak najsurowsza kara. Radziłem zresztą, by od razu wezwać policję.

— To niech ją pan zaraz zawezwie! — krzyknęła Penelope.

Lyre milczała

— Mogłabym wezwać policję i teraz — odezwała się pani Hood ze słabym uśmiechem na ustach — ale obydwie jesteście tak sprytne, że mogłoby to nie zdać się na nic. Właściwie jedyną skuteczną gwarancja uchronienia się na przyszłość od podobnych trucicielskich zamachów byłoby usunięcie was z rodzicielskiego domu; niestety testament waszego ojca nie zezwala na to. Wyobrażam sobie, jak pragniecie się mnie wreszcie pozbyć. Macie luksusowe gusty i zachcianki, których mój skromny sposób życia nie może zadowolić. Chciałybyście obydwie wyjść ponownie za mąż i oczywiście, za takie pieniądze mogłybyście na pewno kupić sobie mężów. — Tu starsza pani wychyliła się do przodu. — Ale mam złą dla was wiadomość: moja matka umarła mając lat dziewięćdziesiąt, a ojciec — sto trzy. Doktor Benedict mówi, że mogę jeszcze pożyć jakieś trzydzieści lat — a zawsze zresztą chciałam i nadal chcę żyć. — Podniosła się z trudem na nogi, ciągle z uśmieszkiem na ustach. — Oczywiście, będę się miała na baczności, żeby mi się ta długowieczność udała — powiedziała, opuszczając pokój.

Dokładnie w tydzień później Ellery siedział przy mahoniowym łożu pani Hood, na którą patrzyli się z zaniepokojeniem doktor Benedict i pan Strake.

Znów ją próbowano otruć. Na szczęście doktor Benedict w porę się nią zajął.

Ellery pochylił się nad starszą panią, której twarz była bardziej podobna do tynku, niż do ludzkiego ciała. — No, a przecież przedsięwzięła pani środki ostrożności.

— Ależ mówię panu, że to było niemożliwe.

— Jednakże — odparł pogodnie Ellery — zostało dokonane. Zreasumujmy sprawę jeszcze raz. Okna pani sypialni ubezpieczone kratą, a do drzwi wprawiono nowy zamek, jedyny klucz od tych drzwi nosi pani przy sobie. Jedzenie kupuje pani sobie sama i sama je gotuje w tym pokoju, gdzie też pani spożywa je w samotności. Jasna rzecz więc, że trucizna nie mogła być wprowadzona do pokarmu ani przed, ani podczas, ani po przyrządzeniu jedzenia. Idźmy dalej. Powiada pani, że kupiła pani nowe naczynie, sama się nimi zajmuje i trzyma je w swym pokoju. Z tego wniosek, że trucizna nie mogła być wprowadzona ani do rondli, ani do filiżanek, naczyń szklanych lub sztućców, których pani używa przy posiłkach. Jakże więc zaaplikowano je pani?

— To jest właśnie zagadka — wykrzyknął doktor Benedict.

— Zagadka, panie Queen — mruknął pan Strake — taka zagadka, której rozwiązanie według mnie, a także i według doktora Be-

# I TRWAŁE

## notatnika

zakresu prawa, dawały odpowiedź na pilne zamówienie społeczne; dotyczyły np. stabilizacji stosunków własnościowych, co miało kapitalne znaczenie gospodarcze dla państwa oraz osiedlających się tu Polaków.

Wrocławscy uczeni — prawnicy, historycy, archeolodzy i przedstawiciele wielu innych dyscyplin — podjęli badania nad przeszłością. Demaskowali i prostowali fałsze i przeinaczenia, jakich dopuścili się nacjonalistyczni lub wręcz faszystowscy uczeni niemieccy. Zadanie to stało się szczególnie aktualne z chwilą odrodzenia się nacjonalizmu, militaryzmu i rewizjonizmu; wielu bowiem zachodnioniemieckich uczonych pozostaje na usługach odwetowców, preparując na ich użytek materiały uzasadniające rewizjonistyczne żądania.

Realizując te konkretne cele społeczno - polityczne, podejmując problematykę mającą bezpośredni wpływ na konsolidację społeczeństwa polskiego, uczelnie, instytuty i towarzystwa naukowe Wrocławia udowodniły, że i współczesność podlega naukowej analizie.

Wrocławscy uczeni podjęli szereg innych prac o doniosłym znaczeniu, np. historycy kontynuują badania nad historią ogólnopolską wnosząc duży wkład w opracowanie podręcznika Historii Polski PAN. Pracują także nad historią powszechną, ze szczególnym uwzględnieniem dziejów Niemiec, państw skandynawskich oraz Słowiańszczyzny Zachodniej. We Wrocławiu powstało także wiele cennych historycznych monografii Śląska i innych regionów Ziem Odzyskanych. W dzieło kształtowania świadomości narodowej poważny wkład wnieśli również przedstawiciele nauk filologicznych, a zwłaszcza filologii polskiej, której sukcesy wiążą się z nazwiskiem wybitnego uczonego, prof. Tadeusza Mikulskiego, założyciela czasopisma naukowego i krytyczno - literackiego „Zeszyty Wrocławskie". Warto jeszcze wspomnieć o Kole Miłośników Literatury i Języka Polskiego oraz Oddziale Wrocławskim Towarzystwa Literackiego im. A. Mickiewicza.

Niemały dorobek naukowy o znaczeniu ogólnokrajowym mają także przedstawiciele innych dyscyplin humanistycznych; ponadto wrocławskie uczelnie są kuźnią kadr dla całej Polski.

Wrocław słynie w świecie z nauk ścisłych, a zwłaszcza matematyki, w której czołową rolę odgrywają uczeni tej miary, jak prof. Hugo Steinhaus, prof. Bronisław Knaster, prof. Edward Marczewski czy prof. Kazimierz Urbanik. Znana poza granicami Polski „Wrocławska szkoła matematyczna" położyła szczególnie duże zasługi w rozwoju badań nad zastosowaniem matematyki do różnych gałęzi życia naukowego i gospodarczego. Zasłużoną sławą cieszy się również wrocławska kardiochirurgia, elektrowektografia, chemia, fizyka teoretyczna i wiele innych.

Nie sposób nawet z tytułów wymienić prac, które podjęli wrocławscy uczeni; z konieczności muszę poprzestać na przykładach i ogólniejszych stwierdzeniach.

Dolnośląski ośrodek naukowy jest kontynuatorem tradycji nauki polskiej; z jego organizacją wiążą się nazwiska wielu wybitnych, światowej sławy uczonych, o prężności zaś tego środowiska zadecydowało chyba młode pokolenie, którego przedstawiciele stanowią zdecydowaną większość wśród wrocławskich pracowników naukowych. Tamtejsze uczelnie wychowały już docentów i profesorów, jeden z nich, wspomniany już prof. dr Kazimierz Urbanik, sławny matematyk, członek PAN, ma dopiero 35 lat.

Ten aspekt zagadnienia, stworzenie warunków starszemu i młodemu pokoleniu, zasługuje na szczególną uwagę. Powie może ktoś, że to sprawy oczywiste, realizowane w całej Polsce, a praktyka stosowana na Ziemiach Zachodnich wypływa chociażby z większego niż gdzie indziej zapotrzebowania na kadry czy też struktury społeczeństwa pod względem wieku. Niewątpliwie tak, ale jestem skłonny upierać się, że zaobserwowane we Wrocławskiem kryteria polityki kadrowej są warte upowszechnienia. Jeden z tamtejszych działaczy mówił mi: „My ryzykujemy stawiając młodych na odpowiedzialne stanowiska, ale to ryzyko nam się opłaca".

Jeszcze jedna okoliczność, która skłania do bliższego zainteresowania się Dolnym Śląskiem; spotykamy tam wielu dawnych mieszkańców Polski południowo-wschodniej, a wśród nich wybitnych przedstawicieli nauki. Prof. dr Hugo Steinhaus, absolwent jasielskiego gimnazjum, wsławił się m. in. pracami badawczymi nad zastosowaniem matematyki w różnych dziedzinach nauki, pozornie odległych od tej dyscypliny. Uchodzi za twórcę wrocławskiej szkoły zastosowań matematyki; jest autorem około 100 prac traktujących o zastosowaniu tej dyscypliny do medycyny, techniki, geografii, sądownictwa, ekonomii oraz dendrometrii. Współpracując np. z prof. L. Hirszfeldem, stworzył matematyczną teorię dochodzenia ojcostwa, co ma poważne znaczenie dla praktyki sądowej, zapoczątkowało dyskusję nad aktualnymi normami prawnymi. Jest także współtwórcą szkoły teksonomicznej, znanej w świecie pod nazwą teksonomii wrocławskiej. Sędziwy matematyk jest doktorem honoris causa wielu uniwersytetów, a także Unwersytetu Wrocławskiego.

Z Rzeszowskiego pochodzi wybitny specjalista w zakresie geografii gospodarczej prof. dr Stefan Inglot oraz prof. dr Aleksander Kosiba i prof. dr Józef Oberc. Nie można pominąć pracowników Ossolineum: dra Romana Kaletę, dra Edwarda Trzynę oraz dra Adama Faustnacha, laureata nagrody województwa rzeszowskiego za prace naukowo-badawcze nad przeszłością ziemi sanockiej. Skoro już mówimy o związkach między Rzeszowem a Dolnym Śląskiem, wymieńmy wrocławianina, a obecnie mieszkańca Rzeszowa, doc. dra Stefana Reczka — dziekana Wydziału Filologicznego WSP.

Pisząc o wrocławianinach „rzeszowskiego pochodzenia" mam na uwadze nawiązanie z nimi bliższych kontaktów, co przede wszystkim leży w interesie naszych uczelni i towarzystw naukowych. Atmosfera jest po temu sprzyjająca, a dotychczasowe kontakty uczonych wrocławskich z Rzeszowszczyzną zachęcają do dalszych inicjatyw. A czy nie warto rozważyć ujęcia tych kontaktów w jakieś organizacyjne ramy, podporządkowanie określonemu programowi, którego realizacja doprowadziłaby z czasem do współpracy obu miast i województw. Nie przypisuję sobie autorstwa tej koncepcji: wysuwają ją przy okazji różnych spotkań nieoficjalni przedstawiciele tych regionów.

# SEJMIK DZIAŁACZY KULTURY

**Przy udziale Mieczysława Kaczora — zastępcy przewodniczącego Prezydium WRN oraz prof. prof. dra H. Markiewicza z Krakowa i dra K. Żygulskiego z Warszawy, obradował w Przemyślu sejmik działaczy kultury i nauki. Organizatorem była Rada Towarzystw Naukowych i Kulturalnych.**

**Obradom przewodniczył dr inż. Zdzisław Czyż, sprawozdanie z działalności Rady złożył mgr Antoni Kunysz, referat pt. „Problemy współczesnej kultury masowej" wygłosił doc. dr Kazimierz Żygulski z Instytutu Filozofii i Socjologii PAN w Warszawie. W dyskusji omówiono wiele istotnych dla Przemyśla spraw związanych z dalszym rozwojem życia kulturalnego miasta i pracy licznych tu towarzystw.**

**ki**

# Prace uczniów PLSP z Jarosławia — w Rzeszowie

*W hallu gmachu PWRN w Rzeszowie czynna była wystawa prac uczniów Liceum Plastycznego z Jarosławia. Wystawę zorganizowała dyrekcja Liceum Plastycznego w Jarosławiu i Wydział Kultury WRN w Rzeszowie. Ekspozycja obejmowała prace uczniów starszych: rzeźbę, malarstwo, grafikę, dziewiarstwo.*

*Fot. M. KOPEC*

**nedicta leży bardziej w pańskich możliwościach niż w możliwościach policji.**

**— No, to, co ja rozwiązuję, jest zwykle proste, o ile tylko widzi się całą sprawę jasno. Chciałbym zadać pani Hood cały szereg pytań. Czy pan pozwala, doktorze?**

Doktor Benedict zbadał puls starszej pani i kiwnął głową przyzwalająco. Ellery rozpoczął indagację. Pani Hood odpowiadała szeptem, ale z wielką stanowczością. Kupiła sobie nową szczoteczkę do zębów i pastę. Zęby miała jeszcze własne, naturalne. Do wszelkich leków miała wstręt, nie używała więc żadnych środków na receptę ani gotowych lekarstw. Piła tylko wodę. Nie paliła papierosów, nie jadła słodyczy, nie żuła gumy i nie używała kosmetyków. Pytania ciągnęły się jeszcze i jeszcze. Ellery pytał o wszystko, co tylko mogło człowiekowi przyjść na myśl. Od czasu do czasu potrząsał głową, jakby chciał z niej wydobyć jeszcze jakieś pytanie.

Wreszcie podziękował, pogładził po ręce panią Hood i wyszedł z pokoju wraz z doktorem Benedictem i panem Strake'em.

**— Więc jaką diagnozę pan stawia, panie Queen? — spytał doktor Benedict.**

**— No i co pan zawyrokuje? — dorzucił niecierpliwie pan Strake.**

**— Panowie, po odrzuceniu picia wody ze zlewów czy z kranów w łazience, jako możliwości zatrucia — bo zbadałem je i stwierdziłem, że nikt przy nich nie majstrował — upadła ostatnia hipoteza, jaka mi przychodziła do głowy.**

**— A przecież trucizna dostała się do organizmu przewodem pokarmowym — uciął ostro doktor Benedict. — To stwierdziłem ponad wszelką możliwość za pomocą analiz.**

**— Jeśli tak rzeczywiście jest, doktorze, to pozostaje tylko jedno wyjaśnienie.**

**— Jakie mianowicie?**

**— Że pani Hood otruła się sama. Na pana miejscu wezwałbym psychiatrę. Do widzenia!**

— W dziesięć dni później Ellery znalazł się znów przy łóżku pani Hood. Starsza pani już nie żyła. Trzeci zamach trucicielski na nią się udał.

Gdy powiedziano o tym Ellery'emu, zwracając się do swego ojca, inspektora Queen, skomentował krótko: „Samobójstwo".

Nie było to jednak samobójstwo. Mozolne badania ekspertów policyjnych, stosujących wszelkie wskazania kryminologii, nie dały żadnych rezultatów zarówno w sypialni, jak i w łazience pani Hood nie znaleziono żadnych środków w postaci naczynia czy pudełka, które by zawierało truciznę. Drwiąc z nieudolności policji Ellery osobiście przeszukał wszystkie zakamarki, lecz w końcu uśmiech pewności zniknął z jego twarzy. Nie znalazł niczego, co by nie było zgodne z tym, co mówiła pani Hood po drugim zamachu na jej życie lub dyskredytowało ekspertów. Wziął następnie w krzyżowy ogień pytań służbę. Z całą surowością przesłuchał wszystkich: i Penelope, cały czas płaczącą, i Lyre, parskającą gniewnie. Nic tu więcej do zrobienia nie było — opuścił więc dom pani Hood.

Ale jego mózg nie był w stanie przestać zajmować się tą zagadką, choć reszta ciała protestowała przeciwko temu. Bez przerwy przemierzał swe mieszkanie. Po dwudziestu godzinach inspektor Queen wziął go za ramię i przemocą zapakował do łóżka.

*Rys. J. SIENKIEWICZ*

— Tego się właśnie spodziewałem — rzekł inspektor, spoglądając na termometr, którym zmierzył synowi temperaturę, 38,3 stopni. Co ci jest synu?

— Wszystko — odburknął Ellery; wziął aspirynę, pozwolił sobie zaaplikować worek z lodem i — poddając się woli ojca — spożył solidny kawał polędwicy uduszonej w maśle.

Podczas jedzenia wrzasnął nagle jak wariat i chwycił za telefon.

— Pan Strake? Tu Ellery Queen. Musimy się natychmiast spotkać w domu Hoodów. Tak jest, niech pan zawiadomi doktora Benedicta. Wiem już, w jaki sposób otruto panią Hood.

Gdy się znaleźli w ponurym salonie, Ellery rzucił ostre spojrzenie na tłustą Penelope i chudą Lyre.

— Która z was ma zamiar wyjść za doktora Benedicta? — zapytał ochrypłym głosem.

I nie czekając na odpowiedź, ciągnął dalej: — Tak, to się musiało tak stać. Zamordowanie macochy przynosiło korzyść jedynie Penelope i Lyre, ale jedyną osobą, która mogła go dokonać, był doktor Benedict... — Pyta się pan, w jaki sposób? — zwrócił się z ironiczną uprzejmością do doktora Benedicta. — Cóż, to bardzo proste. Pierwsza próba otrucia pani Hood została dokonana następnego dnia po jej zwykłej, półrocznej wizycie u pana. Oświadczył pan potem, że będzie pan badał panią Hood co dzień. Jak wiadomo pierwszy krok lekarza przy badaniu pacjenta jest zawsze klasycznie ten sam. Twierdzę, doktorze Benedict — powiedział z uśmiechem Ellery Queen — że wprowadzał pan truciznę do ust pani Hood za pomocą termometru, którym pan mierzył jej temperaturę.

**Tłumaczyła: Zofia Klinger**

**Krystyna Świerczewska**

# BRZYDKIE I PIĘKNE ZMĘCZENIA

**W CHWILI, kiedy to piszę, jeszcze wolno mi żywić złudzenia; w momencie, gdy dotrze ten artykuł do czytelnika wszystko będzie jasne. I albo okażę się, co prawda nie pierwszą, ale naiwną; albo spadnie na mnie satysfakcja rzeczy spełnionej. Idzie mi o proponowany w poniedziałkowym numerze „Nowin" spektakl „Bardzo starych obojga" na Małej Scenie w czasie Spotkań Teatralnych i o dyskusję publiczną nad kształtem Małej Sceny.**

Zaczęła się ta historia dawno i była otoczona mrokiem tajemnic budowlanych, naszą niecierpliwością entuzjastycznymi perspektywami, a w efekcie końcowym, kiedy już wiedziało się, że będzie Mała Scena, wielkim rozgrzeszeniem, jakie rodzi posiadanie. Nie mówiło się, że długo, że nieudolnie; nie wnikało w przyczyny opóźnień ani w historię 10-lecia adaptacji Małej Sceny, bo c e l e przysłaniały mankamenty. Dziś cele pozostały co prawda w niezmienionym kształcie, ale środki, jakie do nich wiodą wydają się tak małe i mdłe, efekty zaś tak znikome, że ponownie rodzi się chęć protestów i zbuntowań. Tym razem o wiele bardziej realnych, bo rozprawiających się z pochopnym planowaniem, bo godzących w entuzjastycznie rzucone propozycje na ubiegłorocznym zebraniu Rady Repertuarowej, które realizowały się w teatrze snów. Tyle, że nie idzie tu o „Dwa teatry" Szaniawskiego, gdzie cieniuśka jedynie granica dzieli rzeczywistość od marzenia, ale o nasz dzień powszedni — wielkie, ważne realium.

Otworzono ją w grudniu sztuką Edlisa „Gdzie jest Abel, brat twój". Moje wrażenia o niej opublikował noworoczny numer „Widnokręgu" (to brzmi w czasie!); w maju, a więc przed miesiącem, Mała Scena zaprezentowała adaptację opowiadania Brandysa „Bardzo starzy oboje", o której nota bene nie wspominało się słowem przy ustalaniu jej repertuaru. I to jest, realnie rzecz biorąc, koniec sezonu Małej Sceny.

*Teatr im. W. Siemaszkowej — „Mała Scena" K. Brandys: „Bardzo starzy oboje", Reż.: Grzegorz Galiński. Scenografia: Jerzy Szymański. Na zdjęciu: Pani Balbina — Zofia Gorczyńska, Pan Adolf — Juliusz Dziemski.* *Fot. JERZY OLMA*

Mnie, widza, może nie interesować proces obarczania odpowiedzialnością winnych takiego stanu rzeczy; ale nie może pozostawić mnie, widza, obojętnym, transformacja 8 zapowiadanych premier w dwie zaledwie rocznie. Ja, rzeszowski widz, nie mam teatralnego wyboru, jestem skazana na proponowane mi sztuki tylko przez jeden teatr; ale ja także wiem, że scena tego teatru poszerzyła się o studio eksperymentalne — współczesne czy starożytne (ciągle powtarzam, że nie idzie tu o nazwę, bo nie ona decyduje o profilu teatru) i mam prawo domagać się dodatkowych premier, w ilości publicznie przed rokiem mi przyrzeczonej. Więc domagam się i pytam:

Co się stało z projektowanym Broszkiewiczem i jego „Przygodami Lemuela Guliwera"?

Dlaczego upadł znakomity projekt wypożyczenia Małej Sceny dla uczniów krakowskiej PWST, którzy zagraliby „Lekcję" Ionesco?

Gdzie wzięło początek zaprzepaszczenie propozycji montażu publicystycznego reportaży rzeszowskich autorów?

Czemu ani nie „Bohater bez chorągwi" Piętaka, ani nie „Sonata Belzebuba" Witkacego — co w końcu brzmiało mądrze, dumnie i dawało zapowiedź eksperymentu sensownego?

Czemu nie sartrowskie „Przy drzwiach zamkniętych"? Słowacki? Herbert?

Jakie moce pomagały zniknąć „Tangu" Mrożka z repertuarów obydwu scen w tym roku?

Nie wzięłam tych nazwisk z powietrza. Ja je s ł y s z a ł a m jako konkretne propozycje na ubiegłorocznej naradzie repertuarowej. stawiane przez ludzi bądź to reprezentujących Teatr im. W. Siemaszkowej, bądź miarodajne władze kulturalne. Ja je z r o z u m i a ł a m jednoznacznie, co nie znaczy w sposób wykluczający możliwość zamiany np. Witkacego na Brandysa, ale w tym sensie jednoznacznie, że obowiązująco co do ilości premier: 4 spektakle pełne — z dekoracją i rekwizytem; następne 4 jako teatr propozycji — sztuki czytane. I zrozumiałam je w odniesieniu do jakości repertuaru, trzeba dodać — wtedy rysującego się niezwykle ambitnie. Co więcej — obecny na czerwcowej naradzie kierownik literacki Teatru im. W. Siemaszkowej — Jerzy Pleśniarowicz rzucił propozycję udostępnienia Małej Sceny Teatrom Jednego Aktora z całej Polski: mówiło się o Siemionie, Mikołajskiej, bodaj czy nie o Łapickim, którzy by pewnie pojawili się przynajmniej raz do roku w Rzeszowie.

Bywają piękne i brzydkie zmęczenia; bardzo brzydko zmęczyły mnie te boje o oblicze Małej Sceny. Może dlatego, że nie znam przeciwnika, że nie bardzo rozumiem, gdzie drzemią i czym kierują się siły przeciwko niej działające, że żal mi, kiedy śliczna salka, która mogłaby stać się jeszcze jednym urokliwie działającym teatrzykiem, stoi pusta, a ludzie nią kierujący bezradnie rezygnują. Nie znam się na finansach; znam za to potrzeby kulturalne mieszkańców Rzeszowa. Znam wiele teatrów prowincjonalnych, obok których takie sceny egzystują od lat i robią wiele dobrego dla środowiska.

Ale bo też nie można otwarcia Małej Sceny traktować jako jeszcze jednej premiery teatralnej. Nie można zostawiać widza, nieco zaszokowanego nową sytuacją, samemu sobie; myślę, że właśnie aktorzy, tak przecież przywykli do widowni, mogliby zaaranżować spotkanie z nią po spektaklu; poprowadzić je tak, by było dopełnieniem idei przedstawienia i przyniosło wzajemne korzyści.

Nie odczuwałam tej potrzeby nigdy tak gwałtownie jak właśnie po premierze opowiadania Brandysa „Bardzo starzy oboje", kiedy w zażenowanym nieco milczeniu skąpa widownia opuszczała salę, patrząc wyczekująco ku scenie, że może to jeszcze nie koniec; może coś więcej usłyszy.

I znowu nim wrócę do sztuki, chciałabym pozbyć się natrętnej myśli o złej reklamie teatru, o jakiejś obojętności wręcz w sprzedawaniu tych spektakli, które przygotowuje Mała Scena. Czy kto kiedykolwiek zastanawiał się, co czuje aktor na premierze, jeśli mówi swoje kwestie do pierwszych czterech rzędów krzeseł pustych; a do następnych z rzadka zapełnionych? Gdybym nim była, walczyłabym o prawo zejścia ze sceny w takiej sytuacji; bo aktor bez widza ma prawo być złym aktorem. Tym bardziej wtedy, gdy czuje potrzebę jego rekacji — p i e r w s z y c h reakcji, premierowych, które powinny decydować o ostatecznym szlifie jego roli.

Czy w tej sytuacji, jaka zaistniała na premierze „Bardzo starych obojga", nie warto byłoby zrewidować nazwisk ludzi, do których wysyła teatr zaproszenia? Nie wchodzę w to, k t o je otrzymał; łatwo to jednak wiedzieć, że nie ci, którzy są zainteresowani sztukami granymi na Małej Scenie. W swoich „Listach ze sceny" Axer z gorzką zadumą wspomina premiery, na których tłoczyła się kiedyś Warszawa; czas ich podobno minął bezpowrotnie. Czy aby Axer ma rację? Czymże, jak nie premierami, są dla Rzeszowa trwające od 6 lat Spotkania Teatralne? I jakiż na nich tłok! I ileż zabiegów o abonamenty! Ile krzątaniny wokół znajomych, którzy rzekomo mogliby coś poradzić, załatwić w ostatniej chwili wejściówkę! I trwa to przez bez mała 10 dni, wieczór po wieczorze, wtedy nawet, kiedy zostawia się z żalem przejmującym „Jesienny wieczór" w telewizji z Woszczerowiczem i Holoubkiem, by oglądnąć „Lato w Nohant", grane w Teatrze Siemaszkowej! A dzieje się tak pewnie dlatego, że Spotkania mają swoją tradycyjnie dobrą oprawę, że są zapowiadane na długo wcześniej niż się zaczynają; są wizytówką odświętną teatru.

Każda premiera Małej Sceny ma szanse się nią stać wtedy, jeśli teatr zda sobie sprawę z form koniecznych do jej zaprezentowania w konkretnym środowisku.

Jeśli się nie gra sztuki, bo nie ma widza — nie ma na pewno kosztów, ale czy to jest równoznaczne z brakiem strat? Każdych strat — nie tylko finansowych, ale tych znacznie groźniejszych w skutkach, jak kulturalne, jak spustoszenia w psychice aktora, który się napracował, by opanować np. kolosalny tekst Brandysa, który wierzył w to, co robi i... został z tą wiarą samotny, nie skonfrontował jej z widzem? To są straty niewymierne na złotówki, o czym powinien wiedzieć i mały Krzyś i duży Jaś. Jeżeli przyjmiemy za podstawę logicznego rozumowania, że brak widza i dlatego teatr nie daje następnej premiery — to — jego szanse wychowawcze są żadne! Każdy twórca walczy o odbiorcę; indywidualnemu twórcy walka zawsze idzie trudniej. Twórcy, za którym stoi zbiorowość, dużo form walki zostało już dane. Stały się jego prawem, z którego wystarczy tylko skorzystać.

Są środowiska twórcze? Są. I jeżeli śpią — budzić je nawet gromkim i zawstydzającym pohukiwaniem, do którego się w tej chwili przyłączam! Są inni aktorzy? Są. Ale nie na premierach studia, które miało być ich dodatkową szkołą, szkołą eksperymentu i doskonalenia zawodu. Są plastycy, z których jednegom raz ujrzała w ciągu roku minionego na premierowym przedstawieniu (nie liczę żon i mężów aktorów — bo są i tacy); są muzycy, są profesorowie i asystenci wyższych uczelni, są architekci, są dziennikarze (z których niewielu się zaprasza) i jest rzesza studentów — reprezentowani, niestety, przez ułamki tego pierwszego procenta, a w masie nieobecni. I wstydzę się za nich, że nie potrafią zapełnić 80 miejsc na widowni Małej Sceny, która właśnie dla nich przeznaczona, na której rozgorzeć powinien co wieczór spór o sztukę, o jej kontakt z widzem. I wstydzę się za teatr z drugiej strony, że nie potrafi po 20 latach działalności w środowisku dotrzeć dziś do widza inteligentnego, przypuścić doń atak w miejsce epatowania własną bezradnością. Że nie zagra sztuki — szoku, sztuki eksperymentu, który stałby się powodem do głośnego mówienia o Małej Scenie. Że nie zaryzykuje przy pomocy Ionesco, Witkacego czy nawet Mrożka małej terapii wstrząsowej wobec obojętności środowiska, nie przyzwyczajonego do nowej formy sztuki.

Z pełną świadomością wybieram moment V Rzeszowskich Spotkań Teatralnych do tych obrachunków. Zwracam się dziś właśnie do widowni premierowej: i do tej pani z misternie upiętą fryzurą i do tej, która kokieteryjnie umieściła swe korale na dekolcie pięknych pleców (Boże! jak ja lubię dobrze ubrane kobiety!) i do pana, co w zamyśleniu i odosobnieniu przeglądał program — dlaczego Was brak na premierach Małej Sceny?

Tam dzieją się rzeczy naprawdę ładne. Tam Grzegorz Galiński podjął ambitną próbę mówienia o człowieku niepogodzonym z sobą, podporządkowanym nadrzędnej idei zrozumienia drugiego człowieka; tam Juliusz Dziemski, którego właśnie miałam przyjemność widzieć na premierze, buduje swoje aktorstwo z najlepszych jego elementów — konsekwentnie wciąga nas w świat strasznej samotności człowieka, tam — dzielnie pomaga mu Zofia Gorczyńska i Adam Fornal. Tam się widzi przedstawienie bardzo inteligentne i bardzo inne w stylu; czyżby ta inteligentna odrębność miała pozostać niezauważona?

Kogo jeszcze trzeba urazić, żeby przekonać o potrzebie właśnie takich inscenizacji w Rzeszowie? Podejmuje się tego niezbyt sympatycznego zadania za cenę najwyższą — tłumów odchodzących ze smutkiem od kasy Małej Sceny — bo warto.

P. S. Kiedy przyjechał do Krakowa Theatre National Populaire z „Ruy Blasen" Victora Hugo mój znakomity profesor dr Z. Czerny poprowadził nas — grupkę wybrańców na jaskółkę w Teatrze Słowackiego. Co ciekawsze momenty romantycznej poezji, groźnie podniesioną ręką, nakazywał słuchać. Na drugi dzień było seminarium poświęcone teatrowi Victora Hugo!

Czy Brandys zasłużył na seminarium w WSP — nie moja rzecz; nie jestem polonistką.. Ale czy nie mówi przypadkiem o prawdach nam bliższych — to już zupełnie inna sprawa...

**Cecylia Błońska**

# WESELNY TORT

Pan domu czujnie zapatrzony w niebo, masywnym drągiem uniósł nieco rozłożysty, pasiasty dach wielkiego namiotu, od wewnątrz podbity wesołym kretonem w kolorowe kwiatki. Na skąpany w słońcu ogród, na ślimaki, tłuste i duże jak parówki, chlusnęły strugi wody... W nocy lał deszcz. Tu, w Nairobi, stolicy Kenii, jest obecnie pora, którą tubylcy nazywają zimą. Padają rzęsiste deszcze, po których natychmiast na błękitnym sklepieniu nieba nie pozostaje ani jedna chmurka.

— Jeśli lunie — trapi się gospodarz, to... nie kończy. Nie widzę większych kłopotów: rozłożyste drzewa mimozy, okryte zamiecią szaro-złotawego kwiatu, gęste korony soczysto-zielonych drzew z czerwonym kwieciem, zwanym u nas popularnie „gwiazdą betlejemską", są chyba w stanie uchronić weselnych gości od skutków nagłej ulewy.

*Ceremonia krajania tortu weselnego: młodzi muszą ująć nóż w wspólnie splecione dłonie...*

Zadziwia mnie trochę tok tych przygotowań. Wczoraj po południu dom był wprawdzie pełen krzątaniny, ale nie takiej, jaka zwykła u nas absorbować rodziny obojga szczęśliwych „młodych", całe czeredy bliższych i dalszych krewnych. Nic z gorączkowych manewrów w kuchni, żadnych zapachów pieczonego ciasta i mięsiwa. Wszystko raczej skupia się na generalnej próbie ślubnych ceremonii, na skrupulatnym opróżnianiu, dla tego momentu, wielkiego parterowego pokoju, skąd pod pieczołowitym okiem gospodarzy wynoszono całą kolekcję starych rzeźb, zabytkowych afrykańskich instrumentów muzycznych. Młodziutki brat panny młodej, bez większego zresztą entuzjazmu dla zleconego mu zadania, montował mikrofony, łączył z ukrytym magnetofonem, a gdy zabrzmiały w końcu tony weselnego marsza, w jego takt młodzi po wielokroć schodzili uroczyście z masywnych schodów i nawet sam wysoki, pełniący funkcję urzędnika stanu cywilnego starosta miasta, zjawił się, by lepiej zapoznać się z topografią weselnego domu.

Na krótko przed weselem, sprawnie i szybko, dostarczono gotową nie tylko całą ucztę. Kwiaciarnia, pretensjonalna „Madame Helène — la fleuriste" przysyła ciężarowym samochodzikiem bukieciki masywnych, niepachnących orchidei dla najbliższej asysty pany młodej, i całe amfory z ułożonymi już dekoracyjnie bukietami. Wkrótce zajeżdżają, w ten sam sposób, wielkie tace z gotowymi przysmakami.

W opróżnionym z mebli, przestronym pokoju, w obecności mnóstwa gości, rodzin przybyłych z rozmaitych kontynentów, rówieśnic i rówieśników, odbywa się ceremonia ślubna. Wszyscy tłoczą się na podwyższeniu wokół fortepianu, którego nie zdołano wynieść. W spokojniejszych chwilach grywa na nim Chopina znana pianistka, urocza, filigranowa Japonka, prześliczna dzisiaj w swym haftowanym kimonie.

Życzenia, gratulacje, błyski flesza i już wszyscy zasiadają na podjeździe przed domem przy stołach, pod rozpiętym namiotowym dachem, na którym nie pozostało już ani odrobiny wilgoci.

Jest wspaniałe pogodne, niedzielne popołudnie. A telegram, który niedawno przyszedł z Polski, nie tyle podnosi radość nowożeńców, którzy otrzymali wiele tego rodzaju dowodów życzliwości, ile moje dobre samopoczucie jako „znak" z Rzeszowa.

— Chcę mieć widok na Afrykę — mówi ojciec panny młodej, zamieszkały tu od wielu wielu lat. Unosi w górę tylną ścianę namiotu: rozłożyste drzewa, wielkie afrykańskie fiołki, efektowne, trochę pokraczne kaktusy, a za tą ścianą afrykańskiej roślinności, szeroka, prawdziwie europejska szosa, którą w to świąteczne popołudnie mknie nieprzerwany sznur samochodów.

Krótkie przemówienia, toast wzniesiony szampanem. Życzenia w rozmaitych językach. Gospodarz, piękną polszczyzną, wśród weselnych gości wymienia polskiego ambasadora.

Zajadając mikroskopijne kanapeczki, malutkie, ciepłe paszteciki (nie większe od naparstka), kandyzowane truskawki, jakieś mikrociasteczka, jakże różne od rozmiarów naszego popularnego „ciacha", biesiadnicy wolni są od powszednich nam trudów obierania do kości indyczego uda, elegantkom nie psuje swobodnego nastroju obawa, że paradną toaletę same lub przy pomocy kelnera, zaplamią tłustym roso-

# *Na marginesie impresji i kontrastów słowno-muzycznych*

Wydział Kultury Prezydium Miejskiej Rady Narodowej i Zarząd Miejski Związku Młodzieży Socjalistycznej w Rzeszowie, wspólnie podjęły inicjatywę zorganizowania przeglądu zespołów słowno-muzycznych z Rzeszowa i województwa. Tę cykliczną imprezę poświęconą jubileuszowi Tysiąclecia Państwa Polskiego rozpoczął pod koniec marca br. występ absolwentów Państwowej Średniej Szkoły Muzycznej z Rzeszowa. W trakcie imprezy przeprowadzono konkurs o tematyce Tysiąclecia. W drugiej części inauguracyjnego koncertu wystąpił zespół gitar „Ekrany" klubu Szpitala Wojewódzkiego oraz zespół wokalny Miejskiego Przedsiębiorstwa Wodociągów i Kanalizacji, pracujący pod kierunkiem absolwenta Państwowej Średniej Szkoły Muzycznej — Jana Wywrockiego.

Pewnym niedopowiedzeniem byłoby pominięcie tego, w jaki sposób zespół klubu MPWiK tak doskonale potrafi zsynchronizować swoją działalność społeczną z nauką. Otóż z dużą pomocą zespołowi przyszła dyrekcja i kierownictwo klubu MPWiK zakupując m. in. instrumenty. W tych warunkach zespół rzeczywiście może w dalszym ciągu rozwijać pracę kulturalną.

W następnych koncertach przeglądu zespołów muzycznych wzięły udział zespoły z Technikum Elektrycznego z Rzeszowa i duet wraz z zespołem rytmicznym Studium Nauczycielskiego z Krosna.

Na szczególną uwagę zasługuje występ zespołu „Symbol" Studium Nauczycielskiego w Rzeszowie. W ich wykonaniu zobaczyliśmy jeszcze jedną inscenizację poematu Brunona Jasieńskiego pt. „Słowo o Jakubie Szeli". Dodatkowym impulsem do pracy nad „Słowem o Jakubie Szeli" był dla studentów fakt, iż akcja poematu toczy się na ziemi rzeszowskiej. Miejscem bowiem urodzenia i zamieszkania Szeli jest wieś Smarzowa w pow. jasielskim. Tam też do największego nasilenia doszła rabacja chłopska. Odtwórcą głównej roli poematu był Edward Tokarski, słuchacz drugiego roku SN. Opiekę reżyserską nad całością przejął Włodzimierz Kaniowski — aktor teatru im. Wandy Siemaszkowej.

W czerwcu planuje się występy zespołów studenckich z innych województw, m. in. z warszawskiego. Całość imprez zamknie 2-dniowy cykl występów Chóru Związku Nauczycielstwa Polskiego w Rzeszowie. Chór mimo swojej krótkiej działalności już potrafił dorobić się ciekawego repertuaru, dzięki energicznym staraniom i pomocy ze strony rzeszowskich władz Związku Nauczycielstwa Polskiego, które powierzyły organizację chóru fachowcowi z prawdziwego zdarzenia: Janowi Wołowcowi. Prowadzi on zajęcia z chórem i koordynuje pracę.

**Z. Kas.**

# POD AFRYKI NIEBEM

łem czy tradycyjnym czerwonym barszczykiem. Jak się bowiem przekonałam, moment konsumpcji nawet i za tę cenę, że gospodarze nie popiszą się swymi kulinarnymi talentami i specjalnościami, jest tutaj, w takich okolicznościach na ostatnim miejscu.

Za to część towarzyska ma przyjemny przebieg. Lektor instytutu naukowego o pięknej jak z hebanu rzeźbionej twarzy, wygłasza wykwintną mowę okolicznościową. Ponieważ pannę młodą nazywano pieszczotliwie Pukiem, nawiązuje do „Snu nocy letniej", cytuje Szekspira. Ongiś, gdy poślubiła go śliczna, biała kobieta (siedzi obok mnie na weselnej uczcie), nie mógł już otrzymać odpowiedniej pracy w Ameryce...

Jak barwnie, jak malowniczo prezentuje się ten czarno-biały tłum! Lucilla, dziennikarka, wyrocznia mody w miejscowej gazecie jest w różowym kostiumie. Ze smolistą czernią jej oczu i włosów, znakomicie harmonizuje niby kowbojski różowy kapelusz. Widocznie jest to kolor najmodniejszy, gdyż nie tylko śnieżne koronki świeżo zaślubionej pani zdobi różowa szarfa, lecz większość kobiet jest w kreacjach tej barwy. Tęgie, wspaniale zbudowane Afrykanki, z wesołym błyskiem śnieżnobiałych zębów, w olśniewającym uśmiechu, dające mi do zrozumienia, że z mych uprzejmości nie rozumieją ani słowa, są przeważnie w różowych sukniach i lekkich narzutkach. Smukła, wytworna, w szykownym różowym kostiumie, w słomkowym „canotierze" barwy rozkwitającej róży, miejscowa piękność czarna Cecylia, sekretarz towarzystwa filmowego w Nairobi, zbiera mnóstwo komplementów (to ona zorganizowała tu niedawno pokaz naszego filmu „Nóż w wodzie", wokół którego trwa jeszcze dyskusja, której szkoda, że nie mogli usłyszeć realizatorzy a także i krytycy). Jest Włoszka Giovanna biała i złotowłosa. W głąb buszu wozi nowoczesne maszyny biurowe, urządza pokazy, prowadzi kursy, wdrażając użytkowników do posługiwania się nowoczesnym sprzętem. Po raz któryś malowniczą grupę, pośrodku z parą młodych, której towarzyszy wychowywana przez rodzinę czarna dziewczynka, do pamiątkowego zdjęcia ustawia Mireilla; wystawę jej fotogramów oglądałam w Paryżu.

Poprzez różnojęzyczny gwar, dochodzą nagle głośne, dobitne słowa: Dajcie mi cztery funty wedlowskich pomadek, no, tej mieszanki! To pani Laura Chmielińska, sędziwa a pełna ognia i energii wdowa po pierwszym konsulu PRL w Nairobi, z flanki atakuje o sprawy naszego eksportu polskiego ambasadora, opowiadając mu nadal donośnie, jak to mieszanka robiła tu furorę i jak szybko znikła.

Jest cały polski stół, a ponieważ wszyscy sadowią się już swobodnie, gdzie najprzyjemniej, siadam vis à vis młodziutkiej pani Leokadii — małżonki naszego ambasadora, a niedawno przybyła z Krakowa Janina, młoda żona pana Alfreda (przedstawiciela naszego „Metaleksportu"), wśród ogólnego rozgwaru skrzętnie podaje mi adres w Krakowie na ulicę Rydla. Solennie przyrzekam, zaraz po powrocie poinformować mamę w Polsce o tym, że na afrykańskim weselu bawiłyśmy się tak blisko i tak wesoło.

Nie podano wprawdzie wedlowskich słodyczy, ale następuje obecnie szczytowa, słodka atrakcja weselnych uroczystości.

Widziani przez wszystkich weselników, na podwyższeniu, na tle dekoracyjnej skóry lamparta rozwieszonej na werandzie, młodzi, ujmując się za ręce, masywnym, wielkim nożem rozpoczynają ceremonię krojenia weselnego tortu, a raczej trzypiętrowego białego giganta na srebrnych „rusztowaniach", z mnóstwem marcepanowych głów dzikich zwierząt. Młoda para pracuje rzetelnie: kawałkiem tortu, a właściwie masywnego piernika z bakaliami, obdzielić trzeba wszystkich biesiadników. Część ciasta, jak nakazuje tu obyczaj, pozostanie w rodzinnym domu. Zaczyna się wesoła dyskusja, czy winni je spożywać, gdy przybędą w pierwsze odwiedziny do rodziców, czy też kawałek tego specjału należy zachować, aż pierwszy potomek przyjdzie na świat...

Już zbiliśmy się wesołą gromadą wokół samochodu gęsto obklejonego bibułkowymi wstęgami, który uwozi nowożeńców obsypanych confetti, wielkimi jak płatki piwonii. I wszyscy podążają na górę do obszernego pokoju, w którym zorganizowano prawdziwą wystawę ślubnych podarunków. Są różne; niezwykle okazałe, bardzo skromne, jest i nasz łowicki pasiak i wcale pokaźna bateryjka rdzennie polskich żubrówek, cytrynówek i gdańskiej goldwasserki. Są przepiękne wyroby sztuki afrykańskiej. Przedmioty zbytkowne i takie, które na pewno przydadzą się w powszednim życiu. Jest tu zwyczaj jakże praktyczny, u nas jeszcze ciągle nie rozstrzygnięty w przekrojowej rubryce savoir vivre'u, ofiarowania młodej parze i całkiem drobnych sum pieniężnych na pierwsze samodzielne wydatki. Jest nawet lista ofiarodawców tzw. czeków, a obok misterny kryształ z firmowym znakiem polskiej huty.

Jeszcze malutki drink z podręcznego barku, rozmówki z przyjaciółmi (bardziej oficjalni goście dawno już odjechali w ślad za parą młodych) i o godzinie ósmej wieczór jest zdecydowanie po całej paradzie. Poprawin nie będzie. Braciszek, obecnie świeżo upieczony szwagier, nieco już pogodzony z postrzyżynami, na jakie skazano go dosłownie na 5 minut przed weselem, manifestuje teraz swoje radiotechniczne talenty. Z taśmy magnetofonowej „leci" całe wesele. W pewnej chwili słychać cichy, szybko pohamowany śmiech nowożeńców, gdy udzielający ślubu starosta odpowiednią formułą przestrzega ich przed jakimikolwiek próbami... bigamii.

— Zapamiętaj — trochę nieoczekiwanie konkluduje pan domu bardzo dumny z rzeczywiście niezwykłego usytuowania Nairobi na geograficznej mapie świata — że byłaś na weselu na s a m y m r ó w n i k u!

Podobnie jak u nas, widocznie ta pora roku najbardziej sprzyja ślubom, gdyż w kilka dni później jestem, całkowicie jako przypadkowy gość, na weselnej uczcie młodej pary Hindusów: On jest cenionym pracownikiem biura urbanistyki Nairobi, ona — kwalifikowaną nauczycielką.

Jesteśmy w kawowej farmie KIAMBU, dobrych kilkadziesiąt kilometrów od afrykańskiej stolicy. Stół rozstawiono pod masywnymi drzewami, ich białe kielichy przypominają, stokrotnie powiększone, kwiaty zwyczajnego tytoniu. W koło sczerniałe od starości drewniane suszarnie kawy. Na malowniczych wzgórkach otaczających fermę, plantacje przysadzistych krzewów, gęsto obwieszone kawowymi kulkami. I tu też nie posiłek, poczęstunek, z którym jedni sadowią się wprost na suchym trawniku, inni szukają miejsca na ławkach, stanowi istotę okolicznościowego zebrania. Odnoszę wrażenie, że biesiada pod gołym niebem stanowi tylko dekorację dla amatorów fotografujących młodą parę.

W końcu zmęczeni, siedli obok siebie na trawie. On, trzyma w ręku talerzyk z twardawym puddingiem, ona z wdziękiem łamie z niego małe kawałki.

Wielką kaskadę białej koronki, spływającą spod jej błyszczącego diademu, druhny malowniczo ułożyły na trawie. A panna młoda, przyjmując moje życzenia, których treści, ponieważ czynię to po polsku, raczej się domyśla niż rozumie, zręcznym gestem zakrywa zsunięte z umęczonych nóg wysokie atłasowe szpilki.

Za chwilę odzieje stopy w wymyślne pantofelki, na zmęczoną śniadą buzię przywoła uśmiech jak do fotografii. I oboje, on poważny, skupiony, na oko dużo od niej starszy, ujmą w splecione ciemne dłonie wielki nóż. Pod jego ciosem, padnie biały jak śnieg, strojny w groźne głowy lwów i słoni, o dziwo, nie topiących się w upalnym słońcu afrykańskiego południa, tradycyjny, weselny afrykański tort.

*Fragment weselnego stołu: Afrykańczyk — lektor instytutu naukowego mówi wesoło i dowcipnie.*

*Fot. Gianni La'Magna*

*Wypada mi zacząć sprawozdanie z ubiegłego tygodnia telewizyjnego od programu bardzo pięknego, przeznaczonego od lat 10 do 100 — od inscenizacji fragmentów „Pana Tadeusza" w „Studiu 63", przygotowanej przez Adama Hanuszkiewicza. Wiemy z doświadczenia, że najpiękniejsze poematy czy najcelniejsza proza przepadają, gdy nie są prezentowane z jednolitą myślą przewodnią, gdy braknie w nich elementów prawdziwego teatru (tak nam zginęła niedawno proza Oświecenia) i nie wiem, czy to zasługa urokliwego wiersza Mickiewicza, czy przede wszystkim jego świetnych odtwórców, ale właśnie fragmenty „Gospodarstwa" wraz z Inwokacją i Epilogiem stanowiły oryginalne, autentyczne widowisko telewizyjne. Jak przy tym ta inwokacja brzmiała, mówiona przez samego Hanuszkiewicza; ile wdzięku rozsypywała Aleksandra Śląska w pełnej dwuznaczności scenie wejścia Telimeny na salę biesiadną i poznania Tadeusza, ile figlarnej kobiecości zapaliło się w oczach Zofii Kucówny, gdy prezentowała Zosine gospodarstwo! Dawnom nie oglądała teatru rapsodycznego, w którym rządzi słowo; „Pan Tadeusz" w „Studiu 63" był nim na pewno i proponował najprostsze rozwiązania inscenizacyjne, polegające na starannym doborze fragmentów, które tworzyły panoramę życia na Litwie, które raz uwodziły strofą miłosną, raz uchylały rąbka obyczaju, z rzadka trącając o ton dramatu napoleońskiego. Grzechem przy tym byłoby nie wspomnieć świetnego Rykowa — Lutkiewicza i nie wymienić pozostałych wykonawców: Butryma, Mileckiego, Strachockiego, Wichniarza, Ziejewskiego i Zaorskiego. Osobne słowa uznania przeznaczam dla Igora Śmiałowskiego, którego ironiczny dystans wobec losu ostatniego z Horeszków był na tyle dowcipno-zjadliwy, na ile konieczny. Pięknież to było zakończenie Dni Oświaty, Książki i Prasy! Cóż z tego, skoro tak bardzo osamotnione w powodzi nijakich programów...*

*W wymiarze koszmaru natomiast, tandety i braku najelementarniejszego pojęcia o inteligentnej rozrywce toczył się półgodzinny program z Katowic, zatytułowany sentymentalno-merkantylnie „Kup moje kwiaty". Kupiłam. I muszę zapłacić złym słowem; takim, na jakie zasługiwała ta transakcja z przejrzystym celem oszukiwania klienta. Zbigniew Zbrojewski dysponując pięknym, nowo otwartym studiem zrobił wszystko, by nam je obrzydzić słabiutkimi wykonawcami piosneczek — staroci, naiwnymi układami tańców (jeśli to w ogóle nie za wielka profanacja użyć tego pojęcia w odniesieniu do niezgrabnych łamańców niezgrabnych dziewcząt) przesłodzoną liryką, całowaniem rączek i czego ta jeszcze się da. Były błękitne maje, pachnące bzy, piosenkarze nie tylko bez głosu, ale i bez słuchu; było studio pocięte na kawałeczki scenografią i tak ukwiecone, że przypominało makatkę znad łóżka babci. I było wszystkiego o pół godziny za dużo. Pomyśleć przy tym, że ów program — eksplozja złego smaku szedł z najnowocześniejszego studia w Polsce, kosztującego krocie — to nie tylko łza się kręci w oku, ale po prostu szlag człowieka trafia, że taki Hanuszkiewicz gniecie się ze swoimi aktorami w salce niewiele liczącej ponad kilkanaście metrów kwadratowych...*

*A teraz już spokojniej o programie Papiernika i Kwiatkowskiego z Rzeszowszczyzny, zatytułowanym „W Kraczkowej" i upamiętniającym 30 rocznicę podpisania Deklaracji Praw Młodzieży. Bardzo poprawny program, z sięgnięciem po stare dokumenty, z konfrontacją z dniem dzisiejszym Kraczkowej — wsi zasobnej, zmienionej nie do poznania. Oczywiście, że nie zabrakło tu nazwisk Solarza, Szenwalda, Dembińskiego; że nie zabrakło rozmów z Możdżeniem, Fołtą, Nawojskim; że nie zabrakło relacji o zwykłej pracy kraczkowskiego rolnika. Nie wiem tylko, czy nie można było relacji o tamtych dramatycznych latach zrobić bardziej dynamicznie, gęściej okrasić anegdotą i słowem żywym ich świadków? W sumie jednak — cieszyć się należy, że wreszcie weszła do naszych mieszkań historia Rzeszowszczyzny, tak ubogo reprezentowanej w programie ogólnopolskim, a w ogóle przemilczanej w programie studia krakowskiego — co od dawna budzi moje gwałtowne sprzeciwy. Tym bardziej że również od dawna jestem zdania, iż bardzo słabe są te programy terenowe, bardzo nudne i robione z myślą o nie wiadomo jakim odbiorcy. Skazani na 15 minut programu lokalnego, mamy chyba prawo żądać prezentacji materiałów i z naszego terenu, bo dzieją się tu sprawy równie ciekawe i równie wielkie, co w innych województwach. Co powiedziawszy, kończę już to wołanie na puszczy do telewizji krakowskiej, która najniechybniej uda, że nie słyszy.*

*Krzysztyna*

*P. S. Pan Ryszard Ziemba — to człowiek, który z pasją i tylko z amatorstwa od lat zajmuje się oprawą książek. Jakie to cuda on już ma w swoich zbiorach — niedawno pokazało nam Muzeum rzeszowskie. Pan Ryszard Ziemba jest optymistą i społecznikiem, toteż chciałby pokazać ten kulturalny dorobek wszystkim miłośnikom książek i stąd zrodził się jego projekt zaproponowania telewizji udostępnienia swojej długoletniej pracy milionom telewidzów. Właśnie w Dniach Oświaty, Książki i Prasy. Pan Ziemba był zbyt wielkim optymistą — telewizja nie raczyła nawet odpisać na jego propozycję. Pan Ziemba pożalił się listownie do mnie.*

*Drogi Panie! — ja zawsze sądziłam, że szybkość informacji niedużo nie była mocną stroną telewizji, a jej braku taktu nie mogę tutaj oceniać. Zrobią to sami czytelnicy. Zwłaszcza ci, którzy wespół ze mną są zdania, że nie zauważyli w majowych programach tej najaktualniejszej tematyki miesiąca.*

## Na naszym ekranie

# Anne Bancroft

Wyświetlany aktualnie na naszych ekranach film Jacka Claytona „Zjadacz dyń" może budzić różne wątpliwości i spory, jedno jest w nim jednak poza dyskusją — rewelacyjna kreacja Anne Bancroft w roli Jo Armitage — kobiety, której instynkt macierzyński przesłonił cały świat, doprowadzając do konfliktu rodzinnego i osobistej tragedii.

Nazwisko Anne Bancroft nic nie mówi naszemu widzowi, toteż pojawienie się na ekranie tej indywidualności aktorskiej było dla nas wszystkich niemałym zaskoczeniem. Tymczasem w Stanach Zjednoczonych jest to jedna z najbardziej cenionych aktorek, zalicza się ją do artystycznej czołówki tego kraju.

A zaczynała zupełnie bez powodzenia. Kiedy przed czternastoma laty, po ukończeniu American Academy of Dramatic Arts, znalazła się w Hollywood, nikt nie chciał zwrócić na nią uwagi. Sześć lat grała podrzędne role w drugorzędnych filmach i zdawałoby się, że podzieli los setek dziewcząt, które daremnie usiłowały osiągnąć cokolwiek w kalifornijskiej „fabryce snów". Oczekiwana wielka rola nie nadchodziła.

— *„Byłam uparta i nie traciłam nadziei, że moja walka któregoś dnia musi przynieść jakiś rezultat — wyznała kiedyś aktorka. — Ale depresja przyszła wcześniej. Któregoś dnia zdałam sobie sprawę, że w Hollywood straciłam bezpłodnie sześć lat życia; że wszystkie moje starania nie zdadzą się na nic; że biję głową o mur. Znacie to deprymujące uczucie całkowitego zawodu i fiaska? Człowiek gotów jest wtedy skończyć ze sobą, albo odwozą go do kliniki dla nerwowo chorych. W takim nastroju wróciłam do Nowego Jorku. Gdy ktoś wtedy wspominał mi o filmie, doznawałam jakiegoś skurczu, zmieniałam się na twarzy, byłam bliska histerii."*

W Nowym Jorku aktorka występuje na scenie teatralnej. Gra w sztuce Williama Gibsona „Dwoje na huśtawce" i odnosi w niej swój pierwszy wielki życiowy sukces. Sztuka nie schodzi ze sceny przez dwa lata, a Bancroft za kreację żydowskiej dziewczyny Gittel Moskowitz dostaje nagrodę Antoinette Perry oraz pisma „Variety", którego czytelnicy uznali ją za najlepszą aktorkę teatralną roku.

„— *Sukces przyszedł tak nieoczekiwanie i łatwo, że nie mogłam w to uwierzyć. Producenci teatralni rozmawiali ze mną, pytali o plany — nareszcie ludzie zaczęli słuchać tego co mówię*".

Ale jeszcze nie ludzie filmu. Kiedy reżyser Robert Wise postanowił przenieść „Dwoje na huśtawce" na ekran, do roli Gittel zaproszono... Shirley Mac Laine, aktorkę znaną i zresztą doskonałą. Niestety bohaterka „Garsoniery", nie poczuła się dobrze w roli Żydówki z Bronxu, zawiódł także jej partner Robert Mitchum (rolę tę w przedstawieniu teatralnym z Anne Bancroft grał Henry Fonda). Film okazał się fiaskiem.

Tymczasem Anne odniosła kolejny triumf na scenie. Za rolę w „Cudotwórczyni" Gibsona otrzymuje ponownie nagrodę Perry i staje się jedną z najpopularniejszych aktorek Broadwayu. Sukces tego spektaklu zachęcił aktora sztuki oraz reżysera Artura Pena i producenta Freda Coe do stworzenia filmowej wersji „Cudotwórczyni". W rolach głównych obsadzono tym razem te same aktorki, które przyczyniły się do sukcesu przedstawienia. Film cieszył się dużym powodzeniem, Anne Bancroft zaś otrzymała za rolę w nim nagrodę Akademii Filmowej — Oscara — za najlepszą kreację żeńską filmową 1962 roku (a przecież zanim wystąpiła po latach przerwy przed kamerą — poszła poradzić się psychiatry!)

Po „Cudotwórczyni" aktorka zagrała w realizowanym w Anglii „Zjadaczu dyń" i znów triumfowała: za odtworzenie postaci Jo Armitage przyznano jej w 1964 roku nagrodę za najlepszą kreację kobiecą na festiwalu filmowym w Cannes. A potem nastąpiły przeprosiny z Hollywoodem. Zaproponowano jej rolę w filmie „Siedem kobiet", następnie zaś w realizowanym przez Paramount obrazie „Zadzwoń do mnie".

Jakie będą jej dalsze losy? Z pewnością droga, jaką pójdzie nie będzie łatwa. Bancroft nie jest aktorką, która pozwoli narzucić sobie to, czego zachciałoby się hollywoodzkim specom od zbijania pieniędzy na produkcji filmowej. Nie da zrobić z siebie kukły, lalki przeznaczonej na pożarcie płytkim gustom części kinowej widowni. Nie będzie gwiazdą typu Jane Russel, czy Rity Hayworth. Przypomina raczej Bette Davis i to zarówno swoją postawą wobec sztuki, wobec Hollywood, jak i postaciami, które kreuje. Są to, jak dotąd, kobiety nieszczęśliwe, tragiczne. Jednostronność tego rodzaju bywa czasem niebezpieczna, szczególnie w USA, gdzie łaska producentów i publiczności „na pstrym koniu jeździ".

W każdym razie my życzymy nowej wybitnej tragiczce ekranu powodzenia w jej niełatwej walce.

**(w. s.)**

*STANISŁAWA PIĘTA — działaczka społeczna w Siedliskach.*
*RYS. J. SIENKIEWCZ*

# Wystawa starodruków w bibliotece WSP

Z okazji Dni Oświaty, Książki i Prasy Biblioteka Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Rzeszowie przygotowała interesującą ekspozycję starodruków i XIX-wiecznych wydawnictw prowincjonalnych Galicji. Do najcenniejszych inkunabułów wystawy należy m. in. IV wydanie Postylli katolickiej mniejszej Jakuba Wujka z 1596 roku i Konstytucje sejmu walnego koronnego wydane w Krakowie w 1611 roku w drukarni Andrzeja Piotrowczyka. Znajdujemy tam także wydawnictwa zasłużonego drukarza i wydawcy królewskiego z czasów stanisławowskich — Michała Grölla. Np. „Dzieje Królestwa Polskiego" z 1766 roku czy Andrzeja Frycza Modrzewskiego: „O poprawie Rzeczypospolitej" (wydanie II), które ukazało się w Wilnie w 1770 roku. Miłośników encyklopedii i wszelkiego rodzaju dykcjonarzy zaciekawi pierwodruk „Zbioru potrzebnych wiadomości porządkiem alfabetu ułożonych" Ignacego Krasickiego wydanych przez Grölla w 1871 roku. Warto również wspomnieć, dzieła zebrane Wergiliusza (Eneidę w nich tłumaczył Jędrzej Kochanowski, brat Jana) wydane w 1590 r. w Warszawie. Świadczą one o wielkiej popularności rzymskiego poety w Polsce szlacheckiej.

Z druków XIX-wiecznych na uwagę zasługują pierwsze wydania „Pana Tadeusza" (Paryż 1834 wyd. Aleksandra Jełowickiego) i Sonetów Mickiewicza (Moskwa 1826).

Wydawnictwa prowincjonalne z tego czasu, które oglądamy na wystawie, świadczą o dość żywym ruchu wydawniczym w Przemyślu, Sanoku, Rzeszowie, i Jaśle. Widać stąd, iż miasta te były żywymi ośrodkami ruchu umysłowego. Sanok, a później Przemyśl miały znaną serię wydawniczą Biblioteki Polskiej założoną i prowadzoną przez zasłużonego Kazimierza Józefa Turowskiego. W Sanoku wydał on przy współpracy drukarza Karola Pollaka 28 tomików klasyków polskich i obcych, w latach od 1848—1856. Dalszych 25 zeszytów ukazało się w Przemyślu nakładem Michała Dzikowskiego.

Najciekawsze z wydawnictw jasielskich to „Ustęp z moich wspomnień" Franciszka Wiesiołowskiego i „Rok 1846 — Kronika dworów szlacheckich zebrana na 50 rocznicę smutnych wypadków lutego". Zasłużonym wydawcą w Rzeszowie, jak wynika ze zbiorów, był J. A. Pelar. Wydawał sporo podręczników dla młodzieży opracowywanych przez miejscowych profesorów gimnazjalnych. Podręczniki wydawano również w Jarosławiu i Jaśle. Warto wymienić również znajdujący się na wystawie egzemplarz „Od Horacego" w tłumaczeniu Mieczysława Adamowskiego, dziś emerytowanego nauczyciela I Gimnazjum w Rzeszowie, wydany w Przemyślu w 1928 roku.

J. G.

## WIDNOKRĄG ODPOWIADA

**J. M. K. — Stalowa Wola:** W wierszach dużo niefortunnych zwrotów, zdradzających zły smak artystyczny autora. Silenie się na zaskakujące zestawienia słowne, na wynaturzone metafory nie zastąpi prawdziwej oryginalności. Bardzo nam się nie podoba „świeca dopalająca swoje kości, zegar, który załkał rdzawymi trybami, nieznany pozagłos samotności, wargi szarych wierzb" itd. Natomiast „zielony poszum lata", „ptak piękna nie nasycony śladą w korze twej dłoni", „kołysanie do snu trawy twoich włosów", to obrazy ładne, zdradzające żywą wyobraźnię. Trzeba unikać sztuczności i udziwnień, a dążyć do prostoty i klarowności frazy wiersza.

**A. Z. — Jasło:** Ani piosenki, ani wiersze naszym zdaniem nie mają wartości artystycznych. Nie warto się chyba trudzić nad tego rodzaju twórczością.

**J. F. Rzeszów:** Niestety, nie wydrukujemy w „Widnokręgu" opowiadania „Dwa cienie". Nowelę o identycznej treści napisał kiedyś Bolesław Prus i zatytułował „Na wakacjach". Z tym, że zrobił on to dużo lepiej. Czy nie szkoda czasu na streszczanie swoimi słowami utworów klasyków literatury polskiej?

**A. C. Sarzyna:** Opowiadanie „Grot Amora" mówi o przyjemnej przygodzie, lecz musi Panu wystarczyć sama satysfakcja z jej przeżycia. Wartości literackich niestety nie posiada — nie ma w nim nic, żadnego konfliktu, problemu, czy chociażby obrazu autentycznych uczuć i przeżyć.

**E. G. — Dębica:** Niestety, nie znaleźliśmy tego „coś" w opowiadaniach: Nie sądzimy, by Pan miał coś do powiedzenia w prozie. Opowiadania są prymitywne językowo, nieudolne w konstrukcji — zdradzają brak oczytania i umiejętności narracji autora.

# Dary rzeszowskich plastyków w szkołach Tysiąclecia

Już 7 szkół Tysiąclecia woj. rzeszowskiego zdobią prace, ofiarowane przez artystów plastyków. Akcję przekazywania obrazów szkołom zapoczątkowali oni jeszcze w 1963 r. Jako pierwsze, dary otrzymały szkoły w Skołyszynie, pow. Jasło i Kobylance, pow. Gorlice.

Akcja ta przybrała większe rozmiary z chwilą powołania w Rzeszowie w 1964 r. Komitetu Roku Plastyki — darów dla szkół Tysiąclecia. Od tego czasu, tj. za kadencji obecnego Zarządu Okręgu Związku Polskich Artystów Plastyków, galerie otrzymało 5 szkół Tysiąclecia, a od 3 bm. w rzeszowskim Domu Sztuki czynna jest ekspozycja prac czterech rzeszowskich plastyków: Cezariusza Kotowicza, Jana Maternickiego, Zdzisława Ostrowskiego i Mariana Strońskiego, które zostaną przekazane szkole w Kraczkowej, pow. Łańcut.

Oprócz już wymienionych, obrazy otrzymały szkoły w Nagoszynie, Pustkowie, Żyrakowie, pow. Dębica, Szebniach, pow. Jasło i Ślężakach, pow. Tarnobrzeg.

Ponad 100 przekazanych prac, według obowiązującego cennika przedstawia wartość ponad 140 tys. zł. Warto również wymienić spośród ofiarodawców tych, którzy mają w tej akcji największy udział. M. in. rzeszowski artysta plastyk, kierownik Biura Wystaw Artystycznych Cezariusz Kotowicz przekazał ponad 20 swoich obrazów, wykonanych różnymi technikami, Jan Maternicki — 14, Zdzisław Ostrowski — 13.

Prof. Jan Wodyński z Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, pochodzący z Jasła, ofiarował szkole w Pustkowie jeden obraz olejny oraz zawiadomił Komitet Roku Plastyki — darów dla szkół Tysiąclecia, iż z okazji wystawy indywidualnej, jaka odbędzie się w październiku br. w rzeszowskim Domu Sztuki, przekaże dla szkoły Tysiąclecia w Jaśle 10 obrazów. Przy okazji warto jeszcze nadmienić, że galerię obrazów w szkole Tysiąclecia w Skołyszynie uzupełniły obrazy, przekazane przez Ogólnopolski Komitet Roku Plastyki.

**(stanski)**

# Zdarzenia tygodnia

W dniach 25 do 30 ubm. odbyły się w Rzeszowie okręgowe przesłuchania uczniów państwowych szkół i ognisk muzycznych. Komisja przesłuchała 140 uczniów z terenu woj. rzeszowskiego, reprezentujących następujące dyscypliny: fortepian, akordeon, skrzypce i instrumenty dęte.

31 maja w sali Państwowej Średniej Szkoły Muzycznej przy ul. Szopena odbył się uroczysty koncert uczniów, którzy uzyskali największą ilość punktów.

• • •

3 bm. w Domu Sztuki w Rzeszowie otwarto wystawę malarstwa, grafiki i rzeźby — prac artystów plastyków rzeszowskiego Okręgu Związku Polskich Artystów Plastyków. Ekspozycja została zorganizowana z okazji trwających od 28 maja do 5 czerwca Dni Rzeszowa.

• • •

W niedzielę w Przemyślu odbędzie się Harcerski Festiwal Piosenki — impreza organizowana przez Komendę Chorągwi ZHP i Kuratorium Szkolne w Rzeszowie. Do eliminacji, które odbędą się w Wojewódzkim Ośrodku Sportu, Turystyki i Wypoczyku przystąpi 13 zespołów wokalnych, instrumentalnych, instrumentalno-wokalnych oraz solistek. W godzinach popołudniowych odbędzie się koncert laureatów.

• • •

3 czerwca br. w sali WDK odbył się kolejny koncert Państwowej Orkiestry Symfonicznej, w którym wzięli udział soliści Bożena Kinasz (sopran) i Marian Mosior (klarnet). Na program złożyły się utwory Mozarta, Debussy'ego, Maklakiewicza, Rossiniego, Noskowskiego, Webera i Verdiego. Koncert prowadził Tadeusz Chachaj.

• • •

Dziś, tj. w sobotę sali kina „Świt" w Rzeszowie odbędzie się, zorganizowany przez Państwową Orkiestrę Symfoniczną, koncert najpiękniejszych melodii operetkowych. Program wypełnią występy POS pod dyrekcją Tadeusza Chachaja oraz solistów Agnieszki Kossakowskiej i Ryszarda Tarasiewicza.

• • •

W Muzeum Okręgowym w Rzeszowie czynna jest wystawa prasy rzeszowskiej. XIX i XX w. Zgromadzone na ekspozycji materiały pochodzą ze zbiorów własnych Muzeum.

• • •

W Wojewódzkim Domu Kultury w Rzeszowie czynna jest wystawa prac dzieci — plonu konkursu pt. „Piękno ziemi rzeszowskiej", ogłoszonego przez dział dziecięcy z okazji Międzynarodowego Dnia Dziecka. W konkursie wzięło udział 40 dzieci z terenu miasta.

• • •

Z okazji Międzynarodowego Dnia Dziecka na scenie amfiteatralnej twórczości WKZZ wystąpił zespół teatralny Domu Kultury Górnika „Naftowca" w Turaszówce, pow. Krosno, z baśnią sceniczną pt. „Jaś i Małgosia" oraz zespół taneczny DK Górnika-Naftowca z Gorlic z widowiskiem baletowym „Sen chłopca".

# W NASZYCH KSIĘGARNIACH

**Henryk Wojnicz: O muzyce prawie wszystko. W-wa 1966, CPARA s. 191, cena 31 zł.**

Popularnonaukowa książka dla miłośników muzyki, podająca w przystępnym ujęciu najważniejsze wiadomości z historii muzyki, form muzycznych i instrumentoznawstwa. W końcowej części znajdziemy dodatek o organizacji życia muzycznego w Polsce.

**Groteski sceniczne. W-wa 1966. CPARA s. 63, cena zł 10.**

Opatrzone uwagami inscenizacyjnymi teksty 2 sztuk. Jedną z nich jest jednoaktowy „Styks" — Zbigniewa Nienackiego, drugą — jednoaktowa groteska Janusza Wasylkowskiego — „Węzeł rodzinny".

**Dwie sprawy. Sztuki współczesne o tematyce wiejskiej. W-wa 1966. CPARA s. 73, cena zł 10.**

Wydawnictwo przeznaczone dla teatrów amatorskich zawiera dwie sztuki: opowieść dramatyczną w jednej odsłonie Andrzeja Górnego pt. „Ślub" oraz adaptację dramatyczną opowiadania Anny Strońskiej — pt. „Krzyż". Obszerne uwagi inscenizacyjne.

**Przez pole, przez las. W-wa 1966. CPARA s. 99, cena zł 17.**

Wydany z inicjatywy Centralnej Poradni Amatorskiego Ruchu Artystycznego i Głównego Zarządu Politycznego Wojska Polskiego zbiorek 25 piosenek wojskowych w układzie na 3 głosy równe z towarzyszeniem fortepianu. Przeznaczony dla amatorskich zespołów muzycznych.

**Roman Samsal: Tęsknota dorosłych. W-wa 1966. Iskry s. 158, cena zł 10.**

Nowy zbiór opowiadań warszawskiego publicysty i powieściopisarza, stanowiący dojrzalszą kontynuację jego twórczości. Mimo różnorodnej tematyki łączy je silny związek ze współczesnością i głębią poruszanych problemów moralnych.

**Józef Kozak: Dziwolag. W-wa 1966. Iskry s. 193, cena zł 12.**

Druga z kolei powieść warszawskiego dziennikarza (debiutował powieścią „Pozory" w roku 1964). Autor wyraża w niej namiętny protest przeciwko fałszom i obłudzie otoczenia, z którym bohater powieści popada w konflikt.

**Władysław Broniewski: Wiersze i poematy. W-wa 1966. PIW s. 445, cena 25 zł.**

Ze smakiem i pietyzmem wydany zbiór utworów znakomitego poety. Zawiera utwory wybrane ze wszystkich tomów poetyckich, wiersze ulotne oraz siedem poematów. Pozycja dla bibliofilów.

**Irena Strzemińska: Rozstania. Wyd. Lubelskie 1966 s. 140, cena zł 10.**

10 opowiadań pióra dziennikarki znanej z zainteresowań sprawami teatru i telewizji. W prezentowanym zbiorze autorka dała wyraz swym poglądom na stosunki międzyludzkie. Zamieszczone tu utwory cechuje oszczędność słowa i autentyzm.

**Józefa Radzymińska: Nad nami noc. Wyd. Lubelskie 1966 s. 152, cena 10 zł.**

Mieszkanka Argentyny, Polka z pochodzenia przyjeżdża po 20 latach do Lublina. Jest byłą więźniarką obozów śmierci. Przeżycia okupacyjne, wojna, wywierają niezatarte piętno w psychice człowieka. Wiele retrospekcji obozowych.

**Louis E. Lomax: Bunt Murzynów. W-wa 1966, Iskry, s. 349, cena 15 zł.**

Murzyński pisarz, zamieszkały w USA, pokazuje problem ludzi czarnych od wewnątrz. Pokazuje codzienne życie ludzi swojej rasy. Pisze o murzyńskich organizacjach, ich celach. Ilustracje.

**Wznowienia:**

**Zbigniew Stolarek: Byłem w Lourdes. W-wa 1966, Iskry, Wyd. III s. 162, cena 9 zł.**

Autor dał książce podtytuł: Miasto cudów widziane własnymi i cudzymi oczyma. Jest to więc reportaż Z. Stolarka z wycieczki do Lourdes oraz relacja rzetelnie zebranych materiałów o Mieście Cudów.

**Jack London. Zew krwi. W-wa 1966. Iskry s. 131, cena 5 zł.**

Popularne, w 100 tys. nakładzie wydanie znanej i lubianej książki świetnego autora, znawcy Północy. Pozycja, do której chętnie wracają miłośnicy przyrody.

**Henryk Sienkiewicz:** Krzyżacy. Wstęp: J. Krzyżanowski. Wyd. 22. W-wa 1966, PIW s. 775, cena zł 45.

**Juliusz Słowacki:** Fantazy. Oprac. M. Inglot, Wyd. 2 zmien. Wrocław 1966. Ossol. s. 163, cena zł 17.

**Józef Ignacy Kraszewski:** Zygmuntowskie czasy. Wstęp: W. Danek, Wyd. 2 zmien, Wrocław 1966, Ossol. s. 465, cena zł 34.

Wydaje Wydawnictwo Prasowe „Nowiny Rzeszowskie" — RSW „Prasa". Adres redakcji: Rzeszów, ul. Żeromskiego 5. Telefony: 2056, 2057 — wewn. 138. Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca.